NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 19 sierpnia 1905 r. Nr. 34.

Tragedya trzech serc.

(Do artykułu na stronie 7).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Przedpotopowy okaz: Olbrzymi mastodon, znajdujący się obecnie w British Muzeum w Londynie.

Markietanka milionerką.

„Fortuna kołem się toczy" — powiada przysłowie, a dowody tego mamy w życiu na każdym kroku. Nieraz ten, co w młodych latach czyścił buty przechodniom na ulicach większych miast, staje się po kilku latach możnym właścicielem kilkudziesięcio, czasem nawet kilkusettysięcznego majątku. Przykładów takich dostarcza zwłaszcza Ameryka. U nas w Europie o zrobienie majątku trudniej, a już rzeczywiście do wyjątków zaliczyć należy, jeżeli na kogoś majątek spadnie nagle, jak to mówią „jak z nieba". Różne się na to składają przyczyny. Z jednej strony brak u nas większych zakładów przemysłowych, brak przedsiębiorczości i rzutności i brak pola do takich interesów. Ale i w Europie to się zdarza.

„Jak z nieba" spadł milionowy majątek na pewną markietankę w Paryżu. Przed tygodniem odbyło się w nadsekwańskiej stolicy ciągnienie loteryi, urządzonej przez Towarzystwo dziennikarzy. O godzinie 8 rano tłumy ludzi zaległy dom, w którym się miało odbyć ciągnienie, a kiedy bramę otwarto, olbrzymia hala zapełniła się w jednej chwili tysiącami żądnej wrażeń publiczności. Największe zaciekawienie wywoływało ciągnienie pierwsze, gdyż posiadacz losu, którego numer został pierwszy wyciągnięty, miał otrzymać milion franków. Nareszcie zebrała się komisya, przyniesiono koła z losami i dwie dziewczynki z zakładu wychowawczego wyciągnęła jedna numer, a druga seryę losu. Kiedy je odczytano, z pośród mnóstwa ludzi poczęła się naprzód przeciskać jakaś ubogo ubrana kobieta, o dość miłej powierzchowności, z promieniejącą ze szczęścia twarzą. Okazało się, że pierwszy los wygrała ta właśnie kobieta. Była to markietanka 28 pułku dragonów, załogującego w Sedanie, Anna Hoffer. W przeciągu kilku minut stała się ona milionerką. Wygrała milion franków.

Pani Hoffer, którą los tak szczodrze się zaopiekował, urodziła się w Alzacyi, potem jakiś czas przebywała w Paryżu, w Sedanie, ostatnio znowu w Paryżu, gdzie i nadal ma zamiar pozostać, a pieniędzy, tak nagle na nią spadłych, ma użyć na pełnienie dobrych uczynków. Kupiła ona 3 losy na wspomnianą wyżej loteryę; wygrał los numer 2174 serya 77, jeden z tych, jakie właśnie miała Hoferowa.

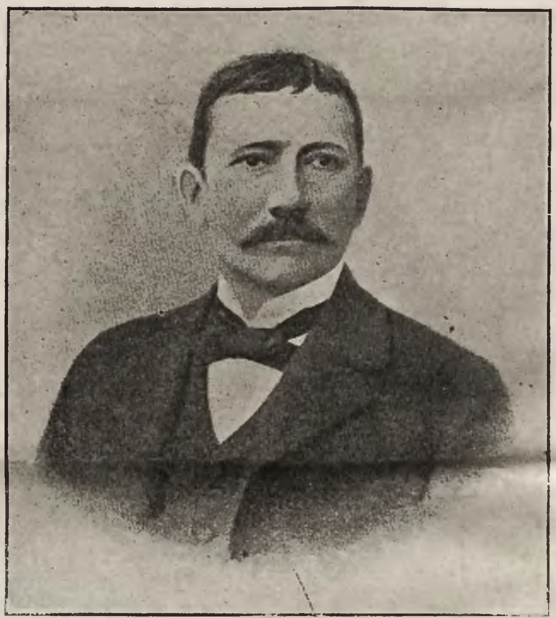
Podajemy obok illustracyę, przedstawiającą panią Hofer w traktyerni wojskowej, kiedy jeszcze była markietanką, tj. przed dwoma tygodniami.



Markietanka milionerką: Anna Hoffer jako markietanka.

Nowy sekretarz Stanów Zjednoczonych.

Po śmierci znanego sekretarza Stanów Zjednoczonych Johna Haya, który zmarł 1 lipca w Newbury, obdarzył prezydent Roosewelt zaszczytną godnością sekretarza Stanów jednego z najbardziej poszukiwanych adwokatów dr. Elihu Roota.



Nowy sekretarz Stanów Zjednoczonych: Elihu Root.

Nowomianowany jest człowiekiem powszechnie poważanym dla swej zadziwiającej znajomości prawa i niezwykłego sprytu, potrzebnego każdemu dobremu adwokatowi.

Elihu Root ujrzał światło dzienne w Clinton w państwie New-York 15 lutego 1845 r. Po ukończeniu kollegium Hamilthona, gdzie jego zdolności prawnicze wskazały mu właściwą drogę, poświęcił się uciążliwym studyom prawnym, które ukończył w roku 1867.

Jego wybitne zdolności zwróciły nań uwagę prezydenta Mac-Kinleya, który mianował go sekretarzem departamentu wojny.

Było to w czasie, kiedy administracya ta po ukończeniu hiszpańskiej wojny, wystawiona była na najsurowszą krytykę. Root nigdy przy wojsku nie służył — mimo to jednak rozwinął tak energiczną działalność, że w krótkim nadzwyczaj czasie udało mu się najzupełniej usunąć wszystko złe.

Już za prezydenta Mac-Kinleya, zyskiwał Elihu Root ogromną popularność — sam prezydent darzył go nadzwyczajnem zaufaniem w sprawach najważniejszych. Za Roosewelta popularność Roota wzmogła się jeszcze, Roosewelt poznał się na jego zdolnościach i żył z nim w stosunkach ścisłej przyjaźni. W początkach działalności politycznej Roosewelta cofnął się Root ze stanowiska szefa wojny, by oddawać się w spokoju studyom prawniczym.

Root jest przewodnikiem partyi republikańskiej w rodzinnem swem mieście; jako człowiek niezwykle zdolny, który przebył prócz tego ważną szkołę na stanowisku sekretarza wojny, stanowi nowomianowany sekretarz wybitną siłę, jego doskonała znajomość prawa dopomoże mu z pewnością do osiągnięcia nowych wawrzynów na nowym a tak ważnym posterunku.

Podajemy dziś portret nowego sekretarza Unii północno-amerykańskiej.

Przedpotopowy okaz.

Ile prawdziwych skarbów przechowuje ziemia w swem łonie, w jakim stopniu przyczynia się do rozszerzania naszych umysłowych widnokręgów, najlepiej można osądzić, gdy zobaczymy przed sobą najrozmaitsze okazy starodawnych zwierząt, które tysiące lat temu żyły, a które przechowały się w głębi ziemi.

Rok rocznie donoszą dzienniki o jakimś ciekawym okazie, który wydobyto dzięki niestrudzonej energii ludzi, którzy, znając dobrze korzyści, jakie stąd wypływają dla całej ludzkości, nie szczędzili żmudnej pracy, byle tylko ciekawym okazem wzbogacić wiedzę ludzką.

Wspaniały okaz przedpotopowego mastodonta wydobyto niedawno w Północnej Ameryce. Robotnicy, którzy brali udział w odkopywaniu, wywiązali się z swego zadania pod każdym względem korzystnie, gdyż pomimo szalonych trudności, na jakie, rzecz naturalna, praca podobna natrafić musi, drogocenny i tak ważny okaz wspaniałego przedpotopowego przedstawiciela zwierząt, pozostał zupełnie nieuszkodzony.

Wspaniałego mastodonta przewieziono do Londynu, gdzie mieści się w kolosalnej sali British Museum.

Załączona fotografia przedstawia właśnie nowowydobyty okaz przedpotopowy.

Emigranci żydowscy z Rosyi.

Klęska wojny — jedna z największych klęsk i barbarzyństw, jakie ogółem kiedykolwiek ludzkość dotknąć mogły — wojna rosyjsko-japońska — wstrząsnęła nietylko podwalinami ustroju państwowego, lecz zarazem zniszczyła byt i egzystencyę tysiąca ludzi. Rosya wyludnia się coraz bardziej, a przyczyny wyludnienia są trojakie: Wojna na Wschodzie, rewolucya i jako konsekwencya obydwóch — głód i nędza, panująca na bezmiernych obszarach carstwa. Ludzie, których złowrogie przeznaczenie, a raczej kaprys koronowanego satrapy, powołał na rzeź na polach mandżurskich — widzą dla siebie ratunek i ucieczkę: w emigracyi. Setki tysięcy ludzi z rodzinami i dziećmi chronią zagrożone swe głowy za granicami rosyjskiego imperium. Dziwić się nie można, że głównego kontyngentu emigrantów — dostarczają żydzi. Plemię to w Rosyi wydziedziczone i niemal z pod prawa wyjęte, usposobienia spokojnego, nie odznacza się zresztą zbytnią odwagą. Oddani spekulacyom i interesom handlowym czują się zagrożeni w swem życiu i mieniu. To też żydzi rosyjscy regulują na gwałt swoje interesa, wyprzedają, co mogą i za ostatni grosz uchodzą za granicę, która zawsze prześladowanych i zbiegów gościnnie przyjmuje.



Andrzej Lelewicz.

Żałosny widok przedstawia ta tłuszcza bezdomnych, biednych, niepewnych jutra tułaczy — i mimowoli przychodzi na myśl baśń o wiecznym żydzie-tułaczu.

Ameryka, Anglia, Rumunia a nawet biedna nasza Galicya — to są tereny, na których biedna ludność żydowska szuka ochrony i opieki prawa, której w Rosyi jest bezwzględnie pozbawioną.

Rycina nasza przedstawia pokład okrętu, zdążającego do Ameryki z żydowskimi emigrantami.

Andrzej Lelewicz.

Rzadko któremu z artystów dramatycznych w Polsce udało się pozyskać tak wielką popularność i sympatyę najszerszych kół publiczności — jak Andrzejowi Lelewiczowi członkowi i reżyserowi operetki lwowskiej. Do zakresu tego nie pomogło mu ani szczęście, ani zbieg okoliczności, ani specyalny fawor jakiś dyrekcyi — ale rzetelna praca, zamiłowanie do sztuki i niepośledni, bujny talent komika. Któż w Galicyi, a nawet i całej Polsce nie zna „niezrównanego“ Lelewicza? Czy jest przeciętny chociaż miłośnik muzyki i sceny, któryby go nie widział w przepysznych jego kreacyach: w Druciarzu, Taksatorze, Apajune, Dziewczynie z fiołkami, Słodkiej dziewczynie, Posłańcu, etc. Zresztą zbyt długi byłby szereg operetek, w których „bryluje“ p. Andrzej. Trzebaby po prostu wymienić wszystkie po kolei.

Andrzej Lelewicz — jak zresztą każdy aktor starszej szkoły — praktykę i naukę swoją czerpał na prowincyi, gdzie talent jego znakomicie się rozwinął — a po długich latach artystycznej tułaczki zwrócił wreszcie na siebie uwagę — wytrawnego znawcy i dyrektora teatru lwowskiego T. Pawlikowskiego.

Od tej chwili przebywa Lelewicz stale na scenie lwowskiej a jest jej prawdziwą chlubą i ozdobą. My ze swej strony dumni być możemy z niego, Andrzej Lelewicz jest bowiem rodowitem dziecięciem Krakowa. To też w dniu jego benefisu, który święcił w Krakowie podczas obecnego pobytu operetki lwowskiej u nas — dowiódł mu Kraków, że ulubieńców swych umie w wdzięcznej pamięci zachowywać. Przepełnione audytoryum, moc oklasków i kwiatów dowiodły tego wymownie.

Z okazyi tego benefisu podajemy w niniejszym numerze portret znakomitego komika.



Emigranci żydowscy z Rosyi: Emigranci żydowscy na pokładzie okrętu, zdążającego do Ameryki.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

12 (Ciąg dalszy).

Więc zostanie, i przypomniawszy sobie radę Żaleckiego, by najpierw jednę z robotnic nakłonić do socyalizmu i uczynić z niej agitatorkę, powzięła plan wyszukania robotnicy Kazi, by z nią zrobić próbę.

Wstała ze szezlonga, na którym wpół leżała, zamierzając przebrać się do wyjścia. Spojrzała przez okna. Zapadał już mrok wczesny, zimowy, a zamierające światło dnia trzymało się jeszcze uporczywie białości śniegu.

Podeszła do szafy ze sukniami, otworzyła, wypatrując stosownej sukni i nagle owładnęło nią takie zniechęcenie, że gwałtownie zatrzasnęła drzwi szafy i znów ułożyła się na szezlongu.

— Nie, to nad moje siły, rozmyślała, iść znów do tej dziewczyny, namawiać, prosić, przekonywać, uśmiechać się przyjaźnie, słuchać jej słów bezmyślnych... i wszystko to znosić w tym wątpliwym celu, że ona może zostanie socyalistką.

I dlaczego socyalni-demokraci nie robią wszystkiego otwarcie, przecież tu wolno, tu, w kraju konstytucyjnym.

Jeszcze „Pochodnia“, ta ze względów uniknięcia formalności ukrywa się jako związek młodzieży uniwersyteckiej, ale innym wolno występować jawnie.

Mógłby tedy ktoś niezależny zwołać zgromadzenie robotnic krawieckich, ona sama i Helena zaagitowałyby, aby one przyszły licznie, na takiem zebraniu możnaby przemówić, oświetlić sprawę i wezwać chętne lub przychylne do zgłoszenia się w dane miejsce.

Takie postępowanie ułatwiłoby znalezienie już nie jednej, ale kilku agitatorek... ale iść na ślepo, szukać omackiem, natrafiać na niechętne, czy nie szkoda sił i czasu?

Powie Żaleckiemu o tym swoim planie, on przecież zrozumie, że to droga pewniejsza i łatwiejsza.

Jutro pójdzie na wykład, spotka się z nim i zaproponuje zwołanie zgromadzenia, a już sama zajmie się gorąco tem, aby robotnice przyszły.

Jutro? a dlaczegóż nie dziś? Spojrzała na zegarek. Obecnie piąta, zwykle bywa o tym czasie w „Pochodni“, wprawdzie często wpadnie tylko na chwilę, ale może właśnie będzie dzisiaj?

Na wykładach może go nie spotkać, chyba lepiej iść dzisiaj do „Pochodni“.

Szybko się ubrała, przyczesała w lustrze swe bujne blond włosy i uwiadomiwszy stryjenkę, że przyjdzie około ósmej, wyszła.

Zastała kilku kolegów, a dowiedziawszy się, że Żalecki nie był dotychczas, usiadła i czytała dzienniki.

Minęła szósta, czas poczynał się jej dłużyć. Nadszedł Walczak i od niego dowiedziała się, że dwaj robotnicy z Warszawy otrzymali już miejsce dzięki pośrednictwu Żaleckiego, a wiadomość ta podniosła w jej oczach szacunek dla pośrednika i dodała otuchy, że on jej pomoże wybrnąć z jej kłopotów i wątpliwości.

Nareszcie przyszedł oczekiwany i trąc ręce, aby je rozegrzać, rzekł:

— Dobry wieczór, koleżanko! Gdzieście się podziewali przez dwa dni? Nie było was ani na wykładach, ani tu — podał rękę do uścisku i zwracając się do Walczaka: — jak się macie, kolego? Szukał was Schweiger, podobno macie lekcyę do oddania i on chciałby wziąć.

— Niepodobna dać mu tej lekcyi... dom konserwatywny, katolicki...

— Tak... to niemożliwe, a szkoda, bo przydałaby mu się lekcya, właściwie pieniądze.

— Słyszałem jednak dzisiaj, że będzie wolne miejsce pisarza u adwokata... może nie oddane... dowiem się i wpadnę tu z wiadomością, zastanę was?

— Zaczekam z godzinę.

— Jaki ten kolega Walczak uczynny — rzekła Olga po jego wyjściu.

— On zawsze taki — usiadł naprzeciw, odgarnął z wysokiego czoła włosy i mówił — użyję koleżanko wyrażenia Płużka: cniło mi się bez was..

Olga spojrzała mu w oczy, lecz wkrótce spuściła je zarumieniona.

— Wiecie, koleżanko, rozmówię się z wami, jak przyjaciel z przyjacielem, bez tych różnych omawiań, zabiegów, pochlebstw... poprostu jestem zakochany... no, nie będę klękał, przysięgał, kraj szaty całował — zaśmiał się z przymusem — ale kocham was i szanuję... Jeśli więc nie macie do mnie wstrętu fizycznego lub moralnego, moglibyśmy urządzić sobie życie wspólne.

Olga, dla której on był zawsze sympatyczny i bezwiednie lgnęła do niego, słuchała go z bijącem sercem. Wprawdzie oczekiwała ona w ogóle od oświadczyn innych słów, ale jego spojrzenia takie miękkie, słodkie, ale ton taki szczery i serdeczny, w którym przebijał się lęk jej odpowiedzi, wszystko to wzruszyło ją, ale znów nie do tego stopnia, aby uległa jego pierwszej prośbie, i nie podnosząc oczu, powiedziała:

— Namyślę się.

— To zupełnie słusznie — i pocierając jasne czoło, spytał — ile, koleżanko, macie lat?

— Dziewiętnaście.

— A ja dwadzieścia cztery... więc lata nasze są w porządku... u brata, który gospodaruje w Królestwie, mam małą sumkę i zawsze na dochód stu koron miesięcznie mogę liczyć, zresztą zarabiam... i na utrzymanie wystarczy. Mówię do was, jak filister — uśmiechnął się — ale to tylko dowód, jak wszechstronnie obmyśliłem wszystko, zanim wam powiedziałem.

— Zatem to są oświadczyny, myślała rozczarowana, to są owe wynurzenia miłości... spytał o lata, mówił o rachunku, i nic więcej? nic?

Będąc pod tem wrażeniem, gdy on skończył i jak jej się zdawało, czekał na odpowiedź, powiedziała nie bez ukrytej ironii:

— Widzę... że obmyśliliście.

Tę nutę jej niezadowolenia odczuł i patrząc na nią, rzekł:

— Wiecie, koleżanko, jest to znanym faktem, że pod wpływem uczucia i niepokoju, nie jest się wymownym... Ale wyznam wam szczerze, że tak opanowaliście mi mózg i wyobraźnię, że mam uczucie połowicznego człowieka i to zapewne nazywa się zakochaniem. Bo zważcie tylko, obraz wasz mnie nie opuszcza, i cokolwiek myślę lub robię, zawsze zwracam się do was, co sądzicie o tem? czy zgadzacie się z tem? czy jesteście zadowoleni?... No i przyznacie mi, że taki stan halucynacyi nic niema w sobie rozkosznego... Postanowiłem tedy raz się wyleczyć, albo naprawdę zechcecie mi zwrócić tę moją połowę psychologiczną i być ze mną i przy mnie realną, żyjącą... albo niech raz się skończy złudzenie. Czy moje wywody nie są logiczne, prawdziwe?

Olga w tych jego słowach odczuła głęboką miłość i szczere uczucie. Przypomniała sobie swe częste wątpliwości, chwiejność w postanowieniach, bezradność w szukaniu dróg i celu i przecież ona w nim szukała podpory, wskazówki, rady. I on jest taki dzielny, poświęcający się dla idei, dążący do wyższych celów i ideałów... i on wie, gdzie idzie, dokąd dąży. Zawsze był dla niej taki dobry, uważny, łagodny; zawsze miał dosyć czasu, aby z nią porozmawiać, aby jej doradzić. I roztajało jej serce, odczuła, że on jest dla niej bardzo bliskim i kochanym przyjacielem, a życie z nim płynęłoby jej tak dobrze, słodko, bezpiecznie we wspólnej pracy, do wspólnego celu.

Spojrzała na niego, wydał się jej pięknym z wyrazistą twarzą, z błyszczącemi oczyma, z jasnem, myślącem czołem. I po chwili milczenia, powiedziała dźwięcznym, spokojnym głosem:

— Wierzę, że mówicie prawdę... Nie wątpię, że życie nasze będzie pogodne i harmonijne... ale ja jestem zależną, mam ojca i znając jego ambicyę, wiem, że na nasz ślub z trudnością się zgodzi, jeśli wogóle się zgodzi.

— Ojciec?... Jeśli da pozwolenie, tem lepiej dla niego a nie zezwoli... możemy przecież obejść się bez tej formalności ślubnej. Nasz związek nie jest handlarsko kupiecki, jak przeważna większość małżeństw burżuazyjnych... to związek wolnych ludzi, świadomych swych praw i obowiązków. Wy, wy socyalistka, stawiacie wyżej jakieś przestarzałe przesądy nad żywe uczucia! To chyba u was chwilowy odruch oddziedziczonego posłuszeństwa więzom, które my rozrywamy i rzucimy do muzeów starożytnych zabytków niewoli ludzkiej.

— Mówicie przesądy... Istotnie mam ten przesąd, nie dla siebie... Przeciwnie, zdaje mi się, że z wami mogłabym być szczęśliwą i gdyby tylko o mnie szło, rzuciłabym się w to życie śmiało...

— Idzie wam o ojca — uśmiechnął się — ale starsi życie kończą, a my zaczynamy!

— Nie idzie mi o ojca, bo pomiędzy nami istnieje tylko związek materyalny i ten zerwałabym w razie potrzeby... ale... ale jest prawdopodobnem, że będą dzieci, czy dziecko. W dzisiejszych warunkach ustroju społecznego matka nieślubna, dziecko nieślubne nietylko prawnie i towarzysko są upośledzeni, ale wlecze się za niemi lekceważenie, pogarda, piętno niższości moralnej. Jeśli wam się zdaje, że nad ten przesąd, dotyczący nie-

ślubnego dziecka, jesteście wyżsi, to ja z mej strony uważam, iż nie mam prawa narażać istoty niewinnej na niezasłużone cierpienia i upokorzenia. I z tego powodu wymagam bezwzględnie formy takiej, w związku pomiędzy mną a mężczyzną, którą uznaje za prawomocną dzisiejszy ustrój społeczny.

Słuchał jej chmurny, wsparłszy głowę na ręce. Od czasu do czasu patrzał na nią, to znów spuszczał oczy, a zmarszczka pomiędzy brwiami świadczyła, że myśl pracuje. Milczał i po dobrej chwili odrzucił spadające włosy, twarz mu się rozjaśniła i podając rękę przez stół, rzekł:

— Chcę uścisnąć waszą rękę na znak mego szczerego szacunku... Wy jesteście wyżsi etycznie ode mnie, uznaję słuszność waszego zdania... byłem egoistą, jakim jest każdy zakochany, któremu się zdaje, że na niej i na nim świat się kończy. Czy jest jaki sposób nakłonienia waszego ojca?

— Gdybyście byli bogaci, mieli stanowisko w państwie lub w burżuazyjnem towarzystwie — uśmiechnęła się drwiąco — w takim razie moglibyście być pewni pozwolenia ojca, ale ja odmówiłabym stanowczo.

— Dziękuję wam... wy jesteście dobrzy i kochani, tak jest, żoną burżuja nie moglibyście zostać.. Cóż ja pocznę z tym ojcem? — skarżył się bezradny.

Zaśmiała się z tych słów i tonu i rzekła:

— Jeśli wasze połowiczne życie z moim obrazem, ale tylko z moim, nie znuży was, mogę was zaślubić, gdy będę pełnoletnią, to znaczy, za dwa lata według praw rosyjskich. Czy nie za ciężka próba dla was? — uśmiechnęła się.

— Próba, to głupstwo... ale czy wy macie pojęcie, co znaczą dwa lata? To przecież dwadzieścia cztery miesiące, a dni siedmset...

— Nie pozujcie na astronoma — zaśmiała się — bo zgubicie rachunek.

— Kiedyż wy kończycie ten nieszczęsny dziewiętnasty rok?

— Zaraz... za miesiąc i cztery dni.

— A więc dwadzieścia pięć miesięcy, nie, to rozpaczliwie długo.

— Zapomnieliście o czterech dniach — powiedziała ze śmiechem.

Ta jej swoboda i wesołość udzieliła się i jemu, rozjaśnił twarz.

— Wiecie, miałem ochotę zrobić wam romantyczną awanturę i wymyślać wam od kobiet bez uczucia, z kamiennem sercem, bez iskry współczucia... ale namyśliłem się, że socyaliście demokratycznemu nie wypada tego robić. No i pomyślcie sobie, że w naszem państwie, jakiś pierwszy lepszy towarzysz, nawet nie zrozumie, idyota, mego dzisiejszego położenia, bo ich, tych szczęśliwców będzie zobowiązywała tylko wolna miłość. Mamy ohydny pech, koleżanko, że urodziliśmy się trochę zawcześnie, zgadzacie się?

— Jeśli wam to robi przyjemność..

— Nie, wy nie macie iskry temperamentu, takie lelum-polelum...

— A wy — śmiała się — czemuż nie bledniecie, włosów nie rwiecie, nie macie pistoletu i pugilaresu z paszportem, jak wymaga od kochanka Słowacki?

— Nie... niech mnie wszyscy... jak byłoby nam dobrze we dwoje! A tu dwadzieścia pięć miesięcy i cztery dni!

— Żart na stronę, kolego — mówiła, poważniejąc — za dwa lata pomówimy o naszym ślubnym związku... a teraz dość tych czułości — a spostrzegłszy, że posmutniał — będziemy wspólnie pracowali i czas szybko minie... godzi się przecież, abyśmy w dzień ślubu mieli za sobą część pracy dokonanej, zasłużyli sobie na chwilę odpoczynku...

— I szczęścia! — przerwał jej. — Tak jest, wy macie znów słuszność. Czy może w tym czasie próbowaliście z robotnicą krawiecką?

— Nie!... I wiecie, gniewajcie się, albo nie, ale nie mogę zmusić się do tej pracy szukania, namawiania, przyciągania...

— Ale dlaczego? Co wam przeszkadza?

— Sama nie wiem, chcę się zmusić, podniecam się i nie mogę... A możeby było lepiej zwołać ogólne zgromadzenie robotnic krawieckich, przemówić do nich i chętniejsze zgłoszą się same.

Patrzał na nią badawczo i zdawało się, że swemi przenikliwemi, stalowo-niebieskiemi oczyma patrzy w głąb jej myśli.

— Zdaje mi się — mówił zwolna — że odgadłem przyczynę waszej niechęci do pracy... wy macie rozdwojoną duszę, nie możecie całej włożyć w zamierzoną pracę i stąd pochodzą wasze wątpliwości, niechęci, no i wybiegi bezwiedne, jak z tem zwołaniem zgromadzenia robotnic.

— Może i tak jest... ja nie zdaję sobie sprawy dlaczego, ale wiem, że jest.

— Wam do duszy nie przemawia, uważacie, nie ta praca nad robotnicą, ale, zdaje się, sam program pracy i wasza dusza nie może się nim przejąć.

W tej chwili wszedł Walczak i z progu zawołał:

— Miejsce jeszcze wolne... napiszę Schweigerowi kartkę. on zawsze bywa tu o ósmej... Mam wolny wieczór, mój uczeń poszedł do bogatej cioci a bogate, rodzinne stosunki należy podtrzymywać — śmiał się i rozebrawszy się z palta, usiadł przy stole — o czem rozmawialiście?

Żalecki spojrzał na Olgę, a otrzymawszy oczyma znak przyzwolenia, mówił:

— Koleżanka Wojtyrska, mimo szczerych chęci, nie może się nagiąć do pracy nad zjednaniem robotnic do partyi. Według mojej analizy, przyczyna jest ta, że koleżanka nie oddaje całej swej duszy, siebie całej programowi partyi.

Walczak spojrzał uważnie na Olgę, na kolegę i rzekł szorstko:



...I dlaczego socyalni demokraci nie robią wszystkiego otwarcie, przecież tu wolno, tu, w kraju konstytucyjnym.

— Czy to ma być flirt? czy akademicka rozprawa?... albo też idzie o prawdziwą niemoc ducha?

— Określiliście słusznie, kolego — powiedziała Olga spokojnie — to niemoc.

Weszła do pokoju Helena, a widząc Olgę — zawołała:

— Wracam od ciebie... dobry wieczór kolegom. Dobrze, że was tu spotykam, jestem taka rozstrojona, jak gitara prababuni — usiadła.

— Nie nastroimy was — zaśmiał się Żalecki — chyba, że rozstrój wasz pochodzi z tych przyczyn, co u koleżanki Wojtyrskiej.

— I ty, Olgo? — zdziwiła się.

— I ja, Heleno — zawołał Żalecki.

— Nie żartujcie — nachmurzyła się Helena — czy szukasz, Olgo, sposobu pogodzenia teoryi ze życiem?

— Cóż za definicya z nauk matematyczno-filozoficznych — zaśmiał się Żalecki i Walczak — o, z koleżanką musi być naprawdę źle.

— Dajcież raz spokój z konceptami — odezwała się Olga — naprawdę dolega mi brak woli, energii w sprawie partyjnej. Kolega Żalecki sądzi, że nie umiem przejąć się programem, a wy, kolego Walczak, że to pochodzi z niemocy — zwróciła się do niego — a ja mam i chęć i poczuwam się do obowiązku, ale na samą myśl pracy agitacyjnej, opuszczają mnie siły i ochota.

— I ja to czuję — mruknęła Helena.

— Otóż ja nie będę analizował duszy waszej — odezwał się Walczak — i poprostu wam powiem: was porwali ci dwaj towarzysze. Nie wiem, czy wasze dusze — patrzał na obie — są mniej, czy więcej skomplikowane przez to, dość, że was ciągnie uczucie w tamtą stronę. Wam nie wystarcza ideał teoretyczny, chcecie go mieć żywym, dotykalnym. I to jest przyczyną zniechęcenia, niemocy, braku inicyatywy.

— Może macie racyę — mówiła Olga zamyślona — ale sądzę, że w przechylaniu się na tamtą stronę odgrywają rolę czynniki inne, mniej szlachetne: urok niebezpieczeństwa, ambicya i t. d.

— Zresztą znalyśmy obie — dodała Helena — ja dość dawno, cały program P. P. S., a jednak przystąpiłyśmy do S. D. na pierwsze wezwanie.

Żalecki, który od pewnego czasu bębnił palcami po stole, odezwał się:

— Kolega Walczak dotknął bezpośredniego faktu i jemu przypisuje wielkie znaczenie, zaś mojem zdaniem, czy rozmowa z robotnikami byłaby lub nie, następstwa, obserwowane przez koleżanki, musiały nastąpić.

— Czy znów analiza? — uśmiechnął się Walczak.

— Nie kpijcie z analizy, to dobra metoda. Posłuchajcie tylko — zapalał się Żalecki i mówiąc, gestykulował rękami, odrzucał włosy, miął nierówną brodę. — Każdy naród ma swoją, sobie właściwą duszę, która rozprószona w narodzie, nadaje temuż narodowi pewien typ samoistny, oryginalny, niespotykany w innym narodzie. Dusza ta objawia się najwyraźniej w temperamencie, w sztuce, a więc w muzyce, malarstwie, poezyi, literaturze; w różnych upodobaniach i zwyczajach.

W czasie tego przemówienia wszedł Waldman, skinął głową na powitanie i usiadł z boku, przysłuchując się uważnie rozmowie.

— Na tę duszę narodową składają się wieki, tysiącolecia może historyi, jak również ziemia i fizyograficzne warunki. I ta lub owa cząstka tej duszy zbiorowej tkwi w każdym, przysłonięta grubszą lub cieńszą warstwą naleciałości cywilizacyjnych, kulturalnych i stanowych. Ale ta odrębna dusza, cząstka zbiorowej, żyje i przy takiem lub owem podrażnieniu czy podnieceniu, ona zapala się jasnym płomieniem, przy którem inne nabyte czy przyswojone światła, wydają się mdłe, słabe, nikłe i nie podniecane wewnętrzną siłą, gasną.

Olga słuchała go z błyszczącemi oczyma, wydał się jej mądrym i pięknym.

Helena słuchała uważnie, ale z pewną dozą sceptycyzmu, gdyż na razie jasne i proste słowa Walczaka utkwiły jej w pamięci.

— Co w mojem rozumowaniu — rzekł Walczak — było następstwem uczucia i materyalną stroną ideału... wy oddaliście to lepiej w teoryi o duszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fotografia migawkowa.
Cudowny obraz N. P. Maryi w Podkamieniu: Uroczysta procesya wewnątrz kościoła.

Cudowny obraz N. P. Maryi w Podkamieniu.

Cześć N. P. Maryi jest szeroko pomiędzy katolickimi ludami rozpowszechnioną. Wiele też krajów, państw i narodów obrało się za patronkę Przeczystą dziewicę. Francuska „Notre-Dame“, niemiecka „Mutter Gottes“, włoska „Madonna“ — to jedna i to samo wyobrażenie, tosamo idealne upostaciowanie Bożej Matki, na Imię której chylą się czoła, a serca wznoszą ponad jej tron w Niebiesiech. Najpiękniejszy, najgłębszy i najszczerszy wyraz przybrała cześć Matki Boskiej — u nas — w Polsce. N. P. Marya jest patronką i orędowniczką narodu naszego. Jej święte Inicyały wyryte były na pałaszach przodków naszych — z przesławnym hymnem „Boga Rodzico“ rzucali się polscy rycerze w bój z wrogiem Wiary i Ojczyzny — Turkiem, Tatarem i Moskalem. Za nią ginęli w odległych krajach i za szczęście poczytywali sobie módz życie położyć w obronie wiary i pod wezwaniem „Królowej archanielskiej“. W obronie tej samej świętości padał lud litewski od strzałów moskiewskiego żołdactwa w Krożach. Jak zaś wiara i miłość do Matki Bożej głęboko jest wkorzenioną u ludu naszego — świadczą wymownie liczne miejsca cudowne będące celem pielgrzymek wierzących. Dosyć wymienić Częstochowę, Kalwaryę, Górę Kalwaryi w Król. Polskiem, Ostrobramę na Litwie, Leżajsk i inne gęsto po kraju rozrzucone miejscowości poświęcone specyalnie czci N. P. Maryi.

Do owych uświęcony wiarą i miłością tłumów miejscowości należy i małe podolskie miasteczko Podkamień. Na 100 m. wysokiej górze znajduje się kościół i klasztor OO. Dominikanów. Tu znajduje się cudami słynący obraz N. P. Maryi, ściągający tysiące pątników w każde uroczyste święto poświęcone czci Matki Bożej. Kiedy ten obraz do Polski się dostał — niewiadomo. Założenie samego klasztoru sięga pierwszych wieków po zaprowadzeniu Wiary Chrystusowej w Polsce. Klasztor ten i konwent ma także swoją martyrologię. W r. 1245 napadli klasztor Tatarzy, których szlak temi stronami prowadził. 11 braci z przeorem na czele poniosło wówczas chwalebną męczeńską śmierć z rąk dzikich Azyatów.

Z czasem powstało u stóp góry miasteczko Podkamieniem nazwane, a to zapewne od olbrzymiego głazu zalegającego podnóże góry.

Klasztor w Podkamieniu odegrał w czasach najazdów tatarskich ważną strategiczną rolę.

Będąc na znacznem wzniesieniu mógł każdorazowe najście Tatarów sygnalizować do pobliskich Brodów, gdzie była obronna twierdza zbudowana przez Koniecpolskiego. Do Brodów przenoszono też w razie grożącego niebrzpieczeństwa cudowny obraz N. P. Maryi, bogato ozdobiony drogocennemi klejnotami, głównie pochodzącemi z daru królowej Bony.

Obecny przeor OO. Dominikanów w Podkamieniu ks. Markiewicz jest Krakowianinem i dzięki jego zamiłowaniu do wszystkiego co nosi cechę piękna, otrzyma klasztor a przedewszystkiem kościół szereg obrazów dzieła znakomitego polskiego malarza ze Lwowa p. Polityńskiego, otrzyma muzeum, w którem liczne wota i zabytki historyczne znajdą pomieszczenie, a nawet jest nadzieja, że opuszczona baszta frontowa zaludni się członkami „Brata Arberta“, którzy ubogiej ludności okolicznej pomoc nieść będą.

Ryciny nasze przedstawiają kościół i klasztor, wizerunek cudownego obrazu, basztę tudzież część odpustowej procesyi.



Cudowny obraz N. P. Maryi w Podkamieniu: Widok ogólny kościoła i klasztoru.

Tragedya trzech serc.

(Do illustracyi tytułowej).

Miłość — to uczucie wszechpotężne, jedno z najwznioślejszych, najpiękniejszych zadatków przyszłości, jakie Bóg w sercu człowieka ułożył. Na miłości do kobiety opartą jest rodzina i jej przyszłość, na rodzinie opiera się społeczeństwo. To też trafnie filozofowie i myśliciele określili stanowisko kobiety w społeczeństwie, twierdząc, że kobieta jest dźwignią i przyszłością pokoleń. Atoli miłość źle skierowana, opacznie pojęta i zrozumiana, staje się w swych skutkach straszną, niszczącą siłą, demonicznym jakimś żywiołem, burzącym wszystkie tamy, wytyczone przez Boga i ludzi — i pociągającą za sobą w ofierze egzystencye i życie zaślepionych zgubną namiętnością. Młode, niedoświadczone serca najprzystępniejsze są tym złowrogim namiętnościom, a egzaltacya i uczuciowość naszego wieku są silnemi ich sprzymierzeńcami.

Straszna tragedya — tragedya trzech serc rozegrała się temi dniami we wiosce Bilczy w powiecie Łuckim w Królestwie. Majątek Bilcza jest dziedziczną własnością Cecylii hr. Sołtanowej. Sołtanowa, osoba wiekowa i bezdzietna miała na wychowaniu krewnego swego 18-letniego Emila Krasuskiego studenta, do którego nauki przyjęła była korepetytora w osobie jego kolegi, niejakiego Kazimierza Konopackiego.

Nieszczęście chciało, że na czas feryi wakacyjnych zjechała również do bogatej swej krewnej daleka kuzynka niejaka panna Wanda B. dziewczyna niezwykłej urody, o kruczych włosach, czarnych oczach i wybitnym typie wschodnim. Odtąd harmonia między młodzieńcami została zakłóconą.



Cudowny obraz N. P. Maryi w Podkamieniu: Baszta narożna obok klasztoru.



Cudowny obraz N. P. Maryi w Podkamieniu: Widok obrazu.

Czarne oczy Wandy poróżniły dwóch najlepszych przyjaciół. I jeden i drugi pokochał ją całym ogniem młodzieńczego serca — i jeden i drugi przeczuwali w sobie rywali. I stało się, co się stać musiało, a raczej, co ciemne fata młodym ludziom przeznaczyły.

Pewnego dnia wybrało się całe towarzystwo na przechadzkę, a w toku rozmowy powstała między młodzieńcami sprzeczka. I stała się rzecz straszna!... Krasuski, kuzynek hrabiny, który miał przy sobie dubeltówkę — odstąpił parę kroków i wsadził cały ładunek — jednym trafnym strzałem — w głowę swego korepetytora. Śmierć nastąpiła natychmiast. Młoda dziewczyna przerażona tem, co zaszło, rzuciła się do ucieczki. Szalony miłością i rozpaczą pognał młodzieniec za bogdanką swoją i powtórnym strzałem zranił ją w głowę. Następnie przystanął i ostatnim wystrzałem sam pozbawił się życia.

Panna leczy się w domu, sędziwa staruszka obecna przy strasznej tragedyi hr. Sołtanowa doznała silnego wstrząśnienia nerwowego i obłożnie chora, walczy między życiem a śmiercią.

Oby ten straszny wypadek był odstraszającym przykładem i przestrogą dla młodzieńców i panien bawiących się w miłość, a niedoceniających jej doniosłości i skutków egzaltowanego uczucia. Strasznym był los zakochanych młodzieńców, ale i los panny Wandy, której czarne oczy pociągnęły w grób dwa życia — i los tej dziewczyny zazdrości godzien nie jest.

Rycina nasza przedstawia tę straszną scenę.

W walce z morzem.

W duszy ludzkiej tkwi odwieczna żądza walki z żywiołami, tli owa iskra prometejska, która nieraz ludzi o śmierć przyprawia, czasem jednak wieńczy ich skronie laurem zwycięstwa. Bić się, wyzywać do walki żywioły, to przecie napełnia duszę rozkoszą. To też nie dziwimy się dzisiaj, że tylu ludzi poświęca czas i siły pracy n. p. nad zbudowaniem balonu sterowego, że tylu śmiałków, którzy pozazdrościli skrzydeł ptakom, życiem swoją zuchwałość przypłaciło i ciągle przypłaca. Człowiek pragnie zwyciężyć, okiełzać, ujarzmić żywioł tak niesforny, jak powietrze, chcę bujać po przestworzach bez przeszkody, jak ptak. Ale nie tylko na tem polu ludzie walczą z elementami. Taksamo walczą z wodą, owym groźnym żywiołem, ziejącym nienasyconą żądzą niszczenia i śmierci. A przecie żywioł to dzisiaj prawie ujarzmiony. Bo przecie dzisiaj nawet w czasie największej burzy człowiek płynie sobie swobodnie w wygodnie urządzonym okręcie, kpiąc z wściekłości bezsilnego mocarza.

Są jednak ludzie, którzy nie na okręcie, nie na łódkach nawet idą w zapasy z morzem. To pływacy. Pływanie jako sport jest jedną z najprzyjemniejszych rozrywek, przytem rozrywką zdrową i hartowną. Dzielni pływacy przedsiębiorą jednak nieraz takie rzeczy, że wprowadzają w zdumienie cały świat.

Tak np. w ubiegłym tygodniu sensacyę obudziła w całej Francyi wieść, że młoda panna, 20-letnia, Anna Kellerman ma zamiar przepynąć kanał La Manch. Kanał ten, oddzielający Francyę od Anglii, jest niezbyt szeroki i niednokrotnie już nęcił śmiałków, którzy chcieli go przepłynąć. Dotychczas jednak, o ile nam wiadomo, nikomu jeszcze nie udało się tego dokonać. I pannie Kellerman nie powiodło się lepiej, jak jej poprzednikom. Dopłynęła prawie do połowy kanału, ale już z sił zupełnie opadła i gdyby nie pomoc łodzi, stale jej towarzyszącej, byłaby utonęła.

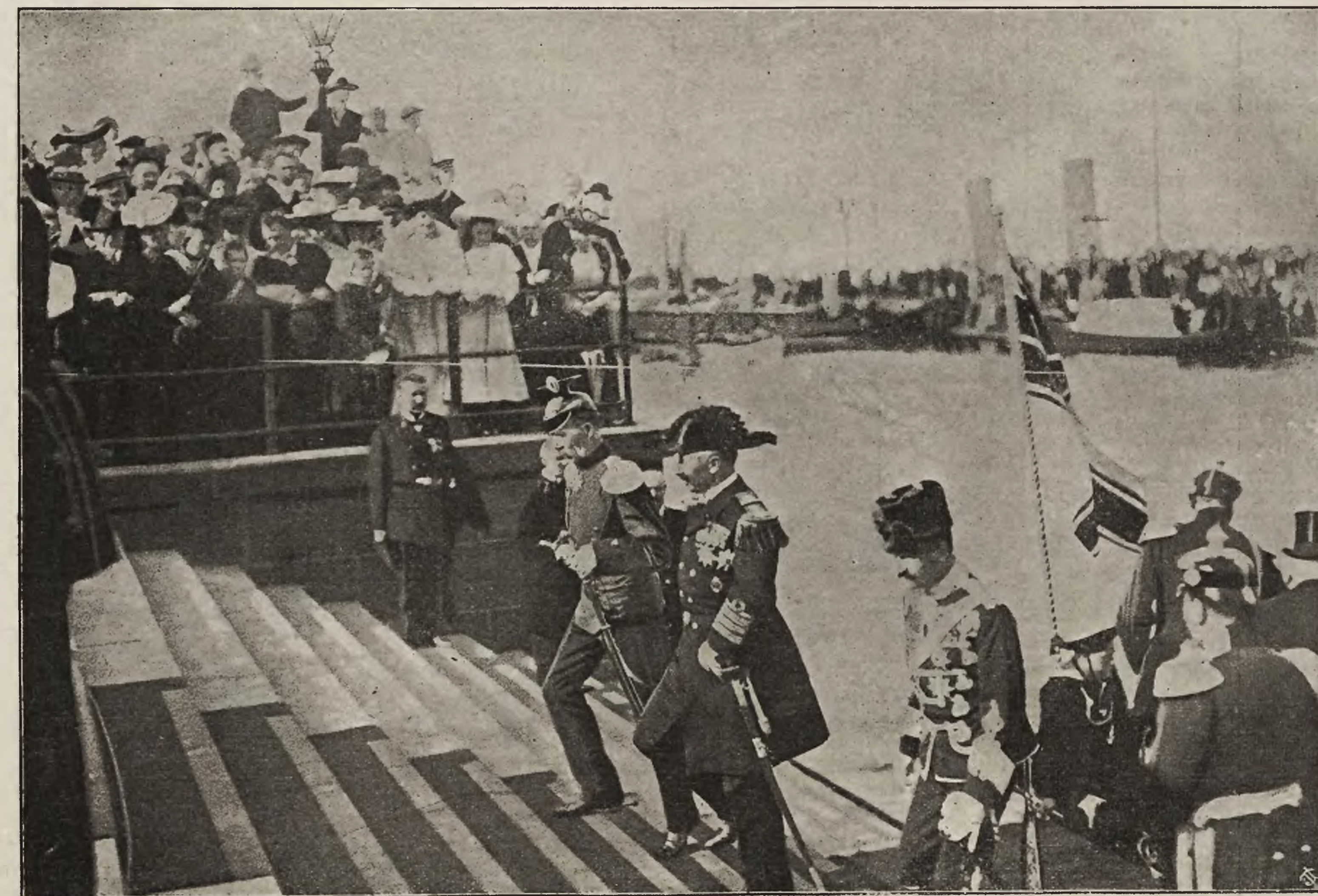
Zuchwałość tę odpokutowała jednak dłuższą chorobą. Dziś bowiem jeszcze leży chora w łóżku, dzięki tej zuchwałej próbie.

Ilustracya nasza przedstawia pannę Kellerman, odważną pływaczkę w toalecie balowej, w chwili kiedy się przygotowuje do odpłynięcia i na morzu.



Toaleta na bal. — Toaleta do pływania. Przygotowanie się do wypłynięcia na morze

W walce z morzem: Panna Anna Kellerman, która usiłowała przepłynąć kanał La Manch.



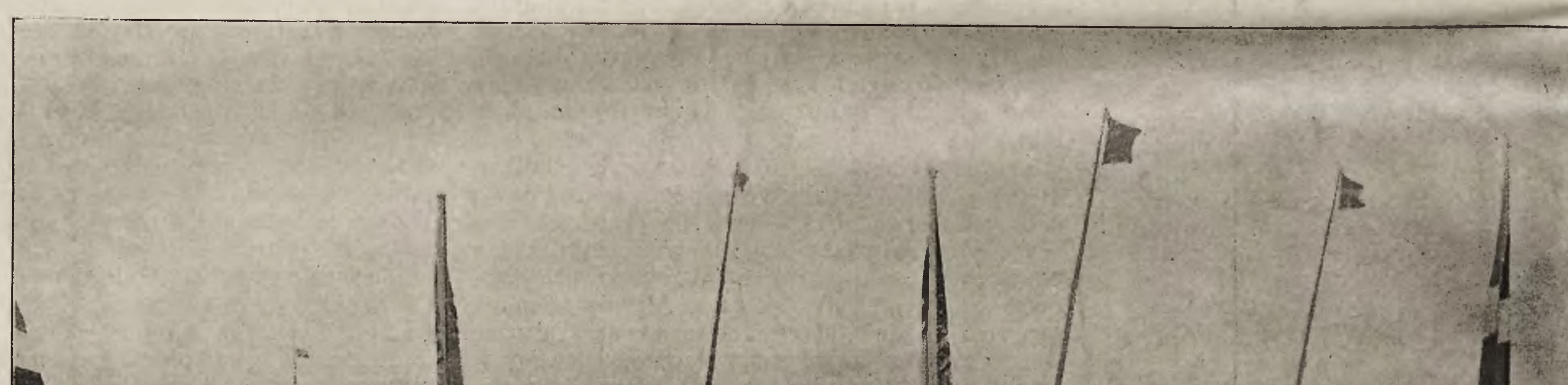
Cesarz Wilhelm podróżuje: Przyjęcie cesarza Wilhelma przez króla Chrystyana i następcę tronu szwedzkiego księcia Fryderyka.

Cesarz Wilhelm podróżuje.

Cesarz niemiecki nie lubi siedzieć na miejscu. Znudził mu się widocznie Berlin, gdzie jego występy przechodzą już bez wrażenia, to też opuszcza go, ile razy mu się tylko po temu sposobność nadarzy. Czy to więc gdzie jest jakie odsłonięcie pomnika, czy jakaś inna uroczystość, tam Wilhelm II. zawsze spieszy, aby się łaskawie dać widzieć poddanym i ukołysać ich dźwiękiem pięknie modulowanych słów. Jeżeli jednak zabraknie w kraju okazyi do rozerwania pełnych trosk dni monarszych, wtedy cesarz niemiecki, którego wiecznie pochłania żądza dawania swoim poddanym i całemu światu sposobności do mówienia o nim, wyjeżdża i podróżuje. Tylko, że podczas gdy mowy jego na uroczystościach rozmaitych w kraju nikomu nic nie szkodzą, co najwyżej rozbudzają uśmiechy politowania, to podróże jego mają już znaczenie większe, interesuje się niemi świat cały, bo tu już wchodzą w grę inne czynniki, mianowicie czynniki dyplomatyczne.

Naprzykład. Przed paru miesiącami pojechał sobie cesarz Wilhelm do Marokko. Pojechał naturalnie z mową — jakżeżby nie? — ale mowa jego wobec przedstawiciela sułtana marokańskiego, była brzemienniejsza w skutki, aniżeli on sam przypuszczał. Ona to bowiem stała się przyczyną ciężkich zawikłań dyplomatycznych między Francyą a Niemcami i tylko tej mowie muszą zawdzięczać Francuzi, że Delcasse, który przez szereg lat dzierżył we Francyi ster polityki zagranicznej, musiał się cofnąć ze swego stanowiska, i ustąpić, co się już po części na Francyi odbiło. I tak jest ze wszystkiemi „mowami politycznemi“ cesarza Wilhelma.

Potem widział się przed kilku tygodniami na wodach fińskich z carem. Czy i do cara wygłaszał Wilhelm II. mowę — nie wiemy. Wogóle wynik



Cesarz Wilhelm podróżuje: Przybycie cesarza Wilhelma do portu w Kopenhadze.

konferencyi monarchów pozostał najściślejszą tajemnicą.

Nareszcie dojechał cesarz Wilhelm do Szwecyi, aby złożyć wizytę królowi Chrystyanowi.

W niniejszym numerze zamieszczamy właśnie dwie ryciny, przestawiające spotkanie się Wilhelma z królem Chrystyanem.

Zmiana właściciela pułku.

45 pułk piechoty, załogujący w Przemyślu, obchodził przed kilku dniami ciekawą uroczystość. Z woli cesarza Franciszka Józefa I. pułk ten, będący własnością księcia Fryderyka Augusta, następcy tronu saskiego, przeszedł na własność arcyksięcia Józefa Ferdynanda. Pułk będzie teraz nosił urzędową nazwę: K. u. k. Infanterieregiment Erzherzog Josef Ferdinand Nr. 45.

Z tej okazyi przybył dnia 10 bm. arcyksiążę Józef Ferdynand do Przemyśla, celem poznania swojego nowego pułku. Na placu ćwiczeń zwanem „Wilcza“ odbyła się inspekcya pułkowa, poczem cały pułk z pułkownikiem Knopfem na czele przedefilował przed arcyksięciem. Wieczorem odbyła się w kasynie wojskowem uczta na cześć dostojnego gościa, który tego samego dnia wyjechał z Przemyśla do Wiednia.

W numerze niniejszym podajemy trzy zdjęcia z pobytu arcyksięcia w Przemyślu. Jedna rycina przedstawia arcyksięcia witającego się z komendantem hr. Auerspergiem, druga arcyksięcia salu-



Zmiana właściciela pułku: Arcyksiążę wita się z zastępcą komendanta hr. Auerspergiem. Fot. M. Todt, Przemyśl.



Zmiana właściciela pułku: Arcyksiążę salutuje defilujący przed nim pułk. Fot. M. Todt, Przemyśl.

tującego przed defilującym pułkiem, trzecia zaś arcyksięcia w otoczeniu oficerów 45 pułku.

Tajemnicze morderstwo.

(Rycina na str. 13).

Przed paru dniami zaalarmowało Pragę ciekawe i nadzwyczaj tajemnicze morderstwo. Morderstwa tego dokonano na jednym ze stróżów nocnych muzeum przemysłowego w Pradze. W pierwszej chwili nie można było rozeznać rysów tajemniczego mordercy, który, rzecz dziwna, sam sobie potem śmierć zadał.

O ciekawym fakcie podają następujące wiadomości:

W muzeum zauważono od kilku dni jakiegoś człowieka w średnim wieku, który tam ciągle robił jakieś notatki i zapiski. Wpadło to w oko dozorcy, który zwracał na wszystkie jego ruchy baczne oko.

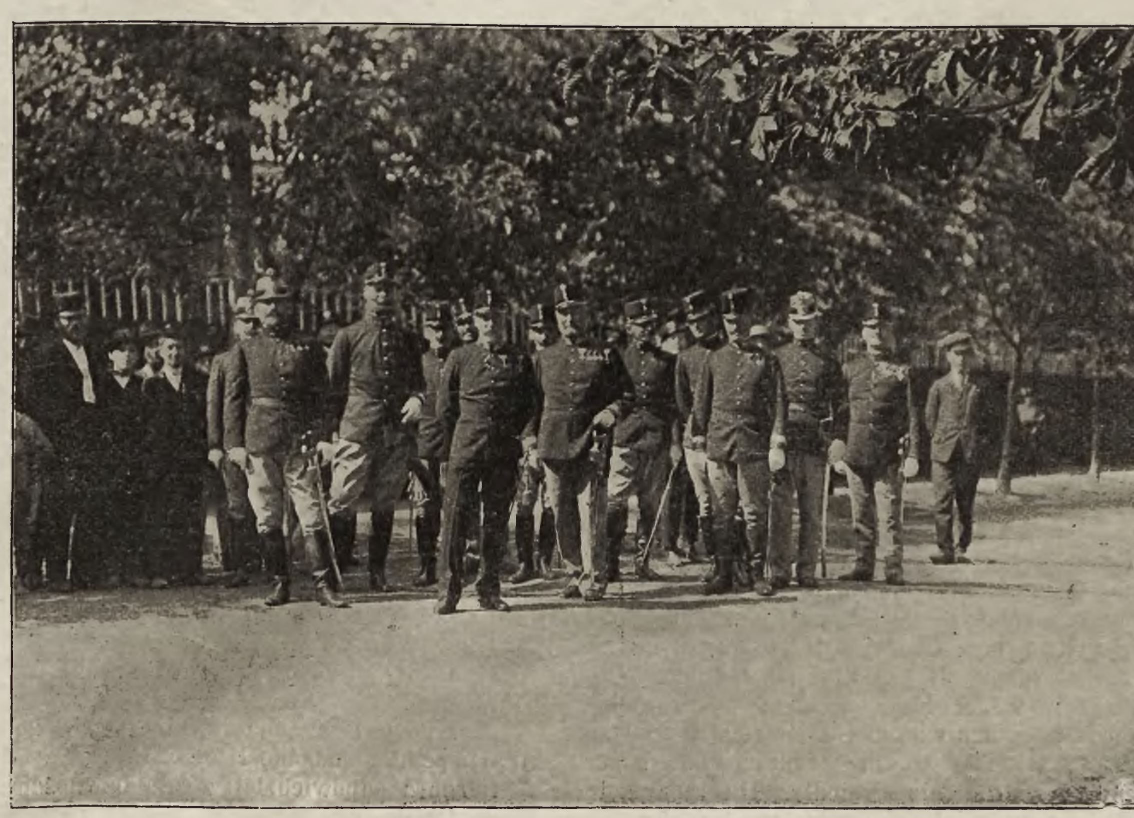
Szczególnie zaciekawiło dozorcę Schanela jedno, a mianowicie, że ciekawy a tajemniczy ten człowiek najwięcej czasu poświęcał na przypatrywaniu się starożytnym numizmatom w szafce, mieszczącej się w jednej z bocznych sal muzeum. Starożytności te przedstawiały wartość kilkuset tysięcy koron.

Krytycznej nocy zdawało się dozorcy, że słyszy w sali czyjeś kroki, głuche stąpania, a następnie usiłowania rozbicia jednej z szafek.

Pochwyciwszy za latarkę, rzucającą snop światła na dany przedmiot, udał się dozorca na miejsce, gdzie posłyszał niebezpieczne kroki. Skoro wszedł na salę, ujrzał złodzieja przy jednej z szafek. Za pomocą dyamentu poprzecinał on cicho szyby szafki i wyjmował właśnie drogocenne przedmioty. W tej chwili rzucił się na niego dozorca. Rozpoczęła się walka na zabój. Dozorca jako słabszy został pokonany. Skłuty niemiłosiernie nożem kuchennym, runął na ziemię zalany krwią. Morderca wyskoczył oknem, chcąc odebrać sobie życie. Skok był jednak o tyle niefortunny, że denat złamał sobie nogę i rękę. Miał jednak tyle siły, że zawlókł się do sali, gdzie powiesił się na skręconym pasku.

Energiczne poszukiwania za identycznością mordercy i samobójcy zarazem wykazały, że denat był nauczycielem ludowym, w ostatnich czasach pozostawał jednak bez posady. Badania sądowe stwierdziły, że cierpiał na nieuleczalną chorobę umysłową. Morderca nazywał się Sander. Był to człowiek jeszcze młody, w pełni sił, a nieuleczalność jego choroby spowodowana była jego własnem niedbalstwem, gdyż nie leczył się, póki mógł i dopiero wtedy począł swego postępku żałować, kiedy okazało się, że leczenie już musi pozostać bez skutku. Zdaje się, że skradzione przedmioty chciał spieniężyć i leczyć się za nie u specyalistów. A może był to złodziej maniak. Niewiadomo.

Illustracya nasza przedstawia tragiczną scenę walki między Schanelem a włamywaczem.



Zmiana właściciela pułku: Arcyksiążę Józef Ferdynand w otoczeniu oficerów. Fot. M. Todt, Przemyśl.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

4 (Ciąg dalszy).

Można tam było czytać: Hrabina Ida Kowalska, hotel Roma. Przybyła 16 lutego pociągiem kolei południowej, w towarzystwie pokojówki. Odwiedził ją człowiek, którego policya ma oddawna na oku, nie mogąc go ująć, markiz de Lerma. Jest on podejrzany mocno o szpiegostwo. Hrabina odjechała 18 lutego“.

Może zostawiono tę listę tylko skutkiem przeoczenia, a możliwe, że z powodu markiza Lermy zwrócono szczególną uwagę na hrabinę Kowalską.

Bernard zrobił parę notatek, zakończył na dzisiaj swe poszukiwania i udał się do kierownika oddziału.

— Chciałbym mówić z tym kolegą, który miał pod nadzorem hrabinę Kowalską — rzekł.

Urzędnik był przypadkowo obecny i „Szklane oczko“ kazał mu sobie dokładnie opisać hrabinę.

Była to uderzająca piękność południowa. W całej jej toalecie było pewnego rodzaju wyrafinowanie i urzędnik uważał ją za kochankę politycznie podejrzanego markiza Lermy. Nic pewnego jednak nie można było skonstatować, dlatego pozwolono hrabinie bez przeszkody opuścić Paryż. Czego ona chciała, pozostało niezbadanem, chociaż policya spodziewała się przy drugiej sposobności dostać hrabinę w swe ręce.

Bernard podziękował zadowolony. Teraz myślał, że jest na tropie, bo hrabina Ida Kowalska nie była kim innym, tylko Gizą Cornary, a książę — —?

— Muszę odnaleźć schronienie tej hrabiny — pomyślał Bernard — chociażbym musiał przeszukać cały Paryż. 16 lutego przybyła hrabina nocnym pociągiem do Paryża, 17 o 10 rano miał się odbyć ślub księcia z Leontyną de Brepont, 18 skoro tajemnicza hrabina załatwiła swe interesa, znikła znowu! Żebym tylko wiedział, za co mam uważać tego markiza Lermę!

Przedsięwziąwszy natychmiast poszukiwania, dowiedział się Bernard, że ubiegłej nocy odjeżdżał jakiś człowiek, który według opisu urzędników, zupełnie tak wyglądał, jak ten szczególny człowiek, którego gonił detektyw w parku księcia.

Nad tem wszystkiem wisiała dziwna tajemnica, bo tych wszystkich wypadków nie można było ująć w jeden szereg. Człowiek, którego urzędnik przypadkowo obserwował, zdawał się dosyć zaniepokojony. Był bez służącego, miał kołnierz paltota podniesiony, a kapelusz wciśnięty na czoło. O rysach nie mógł kasyer, który mu sprzedawał bilet, nic pewnego powiedzieć.

Człowiek ten żądał oschłym, zachrypniętym nieco głosem, biletu pierwszej klasy do Marsylii. Udał się szybko do właśnie nadjeżdżającego pociągu, skoczył do przedziału i opuścił firankę.

Bernard zapamiętał sobie najlepiej słowo Marsylia. Po krótkim namyśle, kupił również bilet do Marsylii i udał się tam właśnie odchodzącym kuryerem. Na jednej stacyi wysłał do prokuratora szyfrowaną depeszę.

Poszukiwania w Marsylii pozostały jednak bez skutku. Na drugi dzień wieczorem powrócił „Szklane oczko“ i szukał szefa policyi. Zaledwie zdał mu raport, nadeszła świeża wiadomość. W kanale Sekwany wyłowiono ciało pięknej kobiety i według wszelkiego prawdopodobieństwa, rozchodziło się tutaj o hrabinę Kowalską.

Przez chwilę stał sam Bernard zdumiały.

W kryminalistyce każdy dzień przynosił coraz nowe wypadki, które urągały wszelkim kombinacyom. Jeżeli hrabina Kowalska była identyczną z trupem kobiecym, wyciągniętym z wody, to cała sprawa otrzymywała całkiem nową postać. Przez bystry umysł detektywa przebiegały piorunem rozmaite przypuszczenia i kombinacye.

Hrabina Kowalska martwa, może wrzucona do wody! Tego nie mógł nikt inny zrobić, tylko ten człowiek, który tak zmieszany odjeżdżał do Marsylii, a który był tak podobnym do księcia.

Detektyw musiał całą siłą zapanować nad sobą, by nie wykrzyknąć: Chodzi tutaj o tragedyę z miłości, a sam książę Bligny stał się mordercą! Potem postanowił „Szklane oczko“ dalej prowadzić w tajemnicy poszukiwania. Gdzie znaleziono trupa mniemanej hrabiny, to nie trudno było dociec. Rachuby Bernarda nie zawiodły. Dworzec kolejowy, z którego odjeżdżał znany nam z parku człowiek, leżał niedaleko kanału Sekwany.

Bernard wyszukał natychmiast umarłą; według opisu, była to rzeczywiście hrabina Kowalska. Była to południowa piękność, której rysom nawet śmierć nie mogła odjąć właściwego im uroku. Małe ręce, na których miała jeszcze eleganckie glacé rękawiczki, były zaciśnięte kurczowo, jak gdyby śmierć zastała hrabinę wśród walki z kimś drugim.

I ta okoliczność potwierdzała przypuszczenie Bernarda. Natychmiastowym poszukiwaniom policyi udało się jeszcze w ciągu tego dnia znaleźć pokojówkę hrabiny Kowalskiej w jednym z podrzędnych hoteli paryskich. Hrabina przesiedliła się tam po opuszczeniu hotelu „Roma“. Pokojówka mogła tylko powiedzieć, że umarła jest rzeczywiście jej panią, ponadto nic. Z jednej strony hrabina była przed swą pokojówką zamknięta, a powtóre pokojówka dopiero od kilku dni była u niej w służbie. Hrabina przyjęła ją podczas przejazdu przez Marsylię i zabrała z sobą do Paryża.

Policya zapieczętowała skromne mienie zmarłej, znajdujące się w hotelu, a Bernard dowiedział się przy tej sposobności, że jego podejrzenie całkiem było słuszne. Między niewielu papierami, przechowanymi przez hrabinę w kufrze, znajdował się akt ślubny, zupełnie podobny do tego, który Bernard znalazł w biurku księcia de Bligny.

Obok tego był także i drugi, a mianowicie na nazwisko hrabiego Stanisława Kowalskiego, który poślubił w niespełna rok po księciu Gizę Cornary w Rzymie. Obok dołączony akt stwierdzał, że hrabina Kowalska była od dwu miesięcy wdową, a śmierć męża zrobiła ją spadkobierczynią wielkiego majątku. Bernard ponotował sobie to wszystko, a kiedy nie znalazł się nikt z krewnych tak hrabiego, jak hrabiny, pogrzebano ją na jednym z cmentarzy paryskich. Pozostałość po niej wzięła tymczasowo w opiekę policya.

Bernard stał przed szefem policyi, z którym prowadził nader ożywioną rozmowę. W wielkim gabinecie nie było prócz nich nikogo.

Ciało hrabiny Kowalskiej spoczywało już dawno w ziemi, a tajemnicze zniknięcie księcia nic się nie rozjaśniło, kiedy tego dnia zjawił się detektyw Bernard u swego szefa.

Rozmowa musiała się już rozpocząć, bo twarz szefa policyi zdradzała ciekawość i uwagę.

— Czy pan więc odkrył coś nowego, Bernardzie? — pytał szef policyi, rzucając z poza okularów badawcze spojrzenie na detektywa. — Właściwie, to ja sądziłem, że wypadek z księciem powiększy liczbę tych, których wyjaśnić nie potrafiono.

„Szklane oczko“ był dzisiaj znowu w swem pojedynczem ubraniu cywilnem, a po jego wargach snuł się ledwo dostrzegalny uśmiech wewnętrznego zadowolenia.

— Ważną nowinę dzisiaj przynoszę — rzekł — lecz powiem krótko a węzłowato: Książę de Bligny żyje.

Szef policyi podniósł szybko głowę i wzruszył następnie ramionami.

— Jest to tak niespodziewane — odezwał się po chwili — że muszę cię, Bernardzie, poprosić o bliższe szczegóły.

Detektyw opowiedział, że ostatnie dni obrócił na poszukiwanie najdrobniejszych poszlak. Przyszedłem tylko do tego przekonania — rzekł — lecz brakuje mi jeszcze zupełnej pewności. Gdy się zaś dostatecznie upewnię, wówczas zaaresztuję księcia, jako najzwyklejszego mordercę.

— Jako mordercę, Bernardzie?

Mogło się zdawać, że szef policyi uważać zaczął swego urzędnika za niespełna rozumu.

— Mówisz pan równocześnie o tem, że książę żyje i o morderstwie, jak e miał popełnić. Niechże mi pan jednak powie, jak pan możesz pogodzić jedno z drugiem? Więc książę ukrył się, według pańskiego mniemania? Ale dlaczego? Ja nie widzę żadnej podstawy do tego rodzaju twierdzenia.

Bernard uśmiechnął się znowu tajemniczo.

— Sprawa jest naturalnie strasznie zagmatwana i nie można jej kilku słowami rozjaśnić. Oznaczyłem dokładnie czas, w którym zaszła na brzegu kanału Sekwany, w pobliżu dworca scena, która bądź co bądź odegrała się bardzo szybko, jednak nie tak jeszcze, żeby się nikt nie znalazł, ktoby jej nie mógł słyszeć, lub widzieć!

— O jakiej to scenie mówisz pan, panie Bernardzie?

— O tej, która sprowadziła śmierć hrabiny Kowalskiej.

— Nie jest przecież wykluczonem, żeby hrabina popełniła samobójstwo!

Bernard odpowiedział z całą pewnością:

— Co do tego, to mam zupełną pewność. Hrabinę wrzucił, po krótkiem szamotaniu, jakiś człowiek do kanału. Osobę, która obserwowała tę scenę z daleka, udało mi się wyszukać z bardzo wielkim trudem. Noc była dość ciemna, a przy tem miejsce mordu nie było oświecone. Mimo tego słyszał mój informator wzburzone głosy, a pomiędzy niemi jeden damski, który zdawał się wzywać pomocy. Widział przy tem ciemne postacie, lecz nie może podać dokładnie, czy było tam dwoje, czy też troje ludzi. Z początku był on za bardzo przerażony, aby natychmiast przybyć z pomocą, a gdy przyszedł do siebie, było już zapóźno, bo hrabinę wrzucono do kanału. Cała ta scena odegrała się tak szybko, że nie był zupełnie pewny, czy rzeczywiście wrzucono kogo do wody, bo w takim wypadku byłby odwiązał łódź ratunkową i wyciągnął ofiarę. Mimo tego pospieszył na brzeg, lecz niczego nie słyszał już, ani widział. Oddalił się więc stamtąd, nie uwiadomiwszy nawet o tem, co zaszło, najbliższego posterunku policyjnego. Uczuł on jednak potem wyrzuty sumienia z tego powodu i opowiedział całe zajście jednemu ze swoich przyjaciół i w ten sposób ja się o tem dowiedziałem.

— Czy ten człowiek nie jest zupełnie podejrzany? — zapytał przezornie szef policyi.

— Bynajmniej! — brzmiała odpowiedź. — Jest on ojcem rodziny i pracuje w jednej z pobliskich fabryk. Tego wieczora pracował do późna w nocy, poczem udał się wprost do domu. Stwierdziłem dalej — ciągnął detektyw — że w parę minut po tem, wszedł jakiś człowiek na dworzec i kupił bilet do Marsylii. Jak już telegraficznie doniosłem, udałem się natychmiast za nim, lecz w Marsylii nie udało mi się nic wykryć. Nikt to nie mógł być inny, jak tylko książę de Bligny, któremu rozchodziło się o to, by się ukryć przed ślubem, a potem zniknąć w tak tajemniczy sposób. Akt ślubny, który znalazłem w jego biurku, rzucił na całą sprawę nowe światło i stało się zupełnie dobrze, że ani narzeczonej księcia, ani jej ojca nie uwiadomiono, bo przez to utrudnionoby tylko nasze poszukiwania.

Szef policyi napisał kilka wierszy na kartce papieru.

— Otóż będziemy musieli postarać się o to, aby znaleźć i uwięzić tego, który rzeczonego wieczora 20 minut przed dwunastą odjechał do Marsylii.

— Całkiem słusznie — zgodził się „Szklane oczko“. — Chciałem właśnie prosić dzisiaj o urlop, by udać się do Marsylii; jestem bowiem przekonany, że książę się tam ukrywa, a długo się przedemną ukryć nie potrafi!

— Możesz to uczynić, panie Bernardzie; w tej sprawie możesz działać na własną rękę. Ale jeszcze jedno pytanie.

— Jaką rolę, sądzisz pan, gra w całej tej sprawie baronówna de Brepont?

— To ofiara uwodziciela, która zasługuje na pełne współczucie.

— Tak! A markiz de Lerma?

„Szklane oczko“ potrzebował kilku sekund czasu do dania odpowiedzi.

— Co do niego, to jeszcze nie wiem nic pewnego i z wydaniem sądu muszę się jeszcze wstrzymać!

— Dobrze, Bernardzie! Pan wiesz, że ja sam jestem wrogiem próżnych posądzań. Czy nie byłoby to dobrem, udzielić ostrożnie baronowi de Brepont wiadomości o stosunku księcia z hrabiną Kowalską? Baron mógłby może na końcu udzielić cennych informacyi, bo prawdopodobnie dotąd nic o tem nie wie!

„Szklane oczko“ odpowiedział po małej pauzie:

— Jeżeli Ekscelencya pozwoli, to jeszcze dzisiaj popołudniu udam się do pałacu barona. Zna mię on od paru dni. Jak słyhać, st n zdrowia jego córki znacznie się poprawił i może mi się uda pomówić z nią parę słów. A to byłoby bardzo ważnem, bo może książę dał znać w jaki skryty sposób o sobie, a to byłoby całkiem nowym momentem w tej sprawie.

Po omówieniu kilku jeszcze punktów, opuścił Bernard pałac sprawiedliwości i postanowił zaraz się przebrać. Przy tem zatru nieniu rozmawiał półgłośno sam z sobą, jak gdyby planował powtórnie cały układ działania.

Opuszczając maleńkie swe mieszkanko, rzekł do siebie:

— Już ja tego zaginionego księcia muszę znaleźć!...

Z sąsiadów nawet gospodyni nie wiedziała o rodzaju jego zajęcia i uważała go za aktora przedmiejskiego teatrzyku. Z tego też powodu trzymał pan Bernard w szafie najrozmaitsze kostymy.

Dzisiaj ubrał się w eleganckie garnitur wizytowy, wyfryzował starannie włosy i nasadził na

głowę lśniący cylinder najnowszej mody. Modne palto z futrzanym kołnierzem, mały brylant w krawacie, lakierki, na które nałożył kalosze, dopełniały stroju eleganckiego Paryżanina. Twarz była bez zarostu, bo detektyw nie wiedział, czy nie spotka się w salonie barona z tak bystrym obserwatorem, któryby mógł poznać fałszywy zarost. A czegoś podobnego chciał Bernard koniecznie uniknąć.

Detektyw wsiadł do najętej dorożki i kazał się zawieźć do pałacu barona de Brepont. Oddał swój bilet, który włożył jednakże do koperty, ponieważ napisał na nim kilka słów.

Nie potrzebował czekać długo, bo wkrótce powrócił służący i poprosił, by udał się za nim.

W minutę później znalazł się w gabinecie barona. Zaledwie służący opuścił pokój, podszedł zbladły baron de Brepont.

— Przybywasz pan, jak na zawołanie — rzekł spiesznie.

W jednej chwili cofnął jednak, bo sądził, że ma przed sobą kogoś innego, lecz wkrótce poznał Bernarda i rzekł:

— Daruj pan, nie byłem przyzwyczajony widzieć pana w takiem ubraniu! Ostatni raz miał pan całkiem inny kostyum na sobie.

— Panie baronie, jestem zmuszony bardzo często zmieniać mój zewnętrzny wygląd. Proszę nie zwracać na to na przyszłość uwagi. Lecz pan jesteś jakoś podniecony; czy nie zaszło przypadkiem co nowego?

— Ta straszna historya przeszła w całkiem nowe stadyum — wyrzekł baron. — Co mam panu powiedzieć? Jak mam zacząć? Nie mogę przyjść do siebie i nie wiem, jak sobie wytłómaczyć to nowe zdarzenie!

— Jeśli to nie jest tajemnicą, którą pan chcesz zachować dla siebie, to proszę się tem ze mną podzielić — rzekł Bernard.

Baron postąpił naprzód do obydwu drzwi, zamknął je i opuścił ciężkie firanki. „Szklane oczko“ obserwował go w milczeniu.

Detektyw spostrzegł w jednej ręce barona biały papier, który z pewnością zawierał ową wiadomość, o której baron właśnie mówił.

— Tymczasowo nie powinien nikt o tem wiedzieć, co mi pisemnie doniesiono — rzekł Brepont cichym, ledwie dosłyszalnym głosem. — Niech pan sam przeczyta, a potem niech mi pan powie, co to znaczy.

Tutaj wręczył Bernardowi nieco zmiętą kartkę i równocześnie usiadł ciężko na stołek przy biurku.

Bernard podszedł ku oknu i zaczął czytać:

— Od księcia de Bligny! — rzekł on i zabłysły mu oczy.

Lecz to poruszenie trwało zaledwie sekundę.

„Żyję! Chociaż cierpię pod przeznaczeniem, które mnie dotknęło. Nad wszystko jednak kocham Leontynę. Miłość ta nigdy nie zagaśnie, choćby los nie miał nam użyczyć jednego dnia słonecznego szczęścia. Proszę nie zastanawiać się nad tem, dlaczego się to wszystko stało. Nie mogę na to i nie śmiem odpowiedzieć! Może los pozwoli mi jeszcze coś o niej kiedyś usłyszeć, lecz co do mnie, to muszę dla ludzkości zniknąć! Tylko tyle mogę panu donieść. Martwa ręka, znajdująca się w czarnej szkatułce nie mogła być moją, bo ja żyję i jestem zupełnie zdrów. Mściwa kobieta chciała zapomocą niej śmiertelnie przerazić Leontynę i jej szczęście na zawsze zniszczyć! Niestety, udało się jej zanadto dobrze! Bywaj pan zdrów, panie baronie i wspomnij pan czasem na nieszczęśliwego księcia de Bligny“.

Detektyw złożył ostrożnie list.

— Cóż pan na to powie? — zapytał baron, ledwo żywy. — Przed kilku minutami przyniesiono ten list z poczty! Z początku uważałem to za straszny żart. Lecz znam pismo księcia i jestem pewny, że to on i nikt inny pisał ten list.

Bez najmniejszego drżenia w głosie odezwał się detektyw:

— Czy mogę ten list zatrzymać? Mógłby mi bardzo wiele pomódz przy dalszych poszukiwaniach.

Baron skinął spiesznie głową.

— Niech pan z nim robi, co się panu tylko podoba. Drżę formalnie na myśl, że będę musiał ten zwrot zakomunikować mej córce! Bo chociażby książę żył, to ta wiadomość będzie tylko powodem nowych zagadek i trwóg.

— Posłuchaj pan mego zdania, panie baronie — rzekł detektyw. — Teraz panu powiem, że ja, zanim jeszcze przeczytałem ten list, byłem przekonany, że książę żyje!

— Co?! Pan wiedział to? — zapytał całkiem skonsternowany baron, patrząc szeroko otwartemi oczyma w detektywa.

— Najzupełniej, panie baronie. Może się pan teraz dowiedzieć o tem, o czem, ze względu na pewniejszy pościg, dotąd zamilczałem. Gdym sam jeden w nocy przeszukiwał biurko zaginionego księcia, przy czem wpadł mi w ręce papier, którego treść przy sposobności jeszcze omówimy, padł przez okno do mnie skierowany strzał.

— Strzał? — zapytał baron, który nie pojmował, co dalej miało nastąpić.

— Strzał — powtórzył Bernard. — Wypadłem na taras, wywaliłem drzwi i w strzelającym poznałem księcia de Bligny.

— Niemożliwe — wykrzyknął baron.

Detektyw wzruszył tylko ramionami.

— Nic w życiu nie jest niemożliwe, panie baronie. Na wszystko znajdzie się wreszcie wyjaśnienie. Nie udało mi się wprawdzie owej nocy schwytać uciekającego księcia, lecz wkrótce potem wyjechał książę do Marsylii. Także tam pospieszyłem za nim i powtórnie pozostały moje poszukiwania bez skutku. Może teraz będę miał więcej szczęścia.



...Ważną nowinę dzisiaj przynoszę – rzekł – lecz powiem krótko a węzłowato: Książę de Bligny żyje.

— Powiedzże mi pan przecież, z jakiego powodu grałby taką komedyę? Któż był owym trupem, którego wyciągnięto z Sekwany i w którego kieszeniach znajdowały się papiery księcia? Nadto poznałem jak najdokładniej frak mego przyszłego zięcia, a stary sługa, Franciszek, nie zawahał się ani chwili przy stwierdzeniu tożsamości.

Na to odpowiedział Bernard:

— Kto był owym trupem, któremu rękę odcięto, aby zagrać wstrętną komedyę, jest dotychczas zagadką. Rozwiąże się ona sama przez się, skoro tylko ściągniemy zasłonę z całego dalszego postępowania księcia.

— A wspomnienie o tej mściwej kobiecie? Co przez to myśli książę, jeżeli rzeczywiście jeszcze żyje?

Bernard odpowiedział ostrożnie:

— Może to jaka historya miłosna, sięgająca nieco w przeszłość księcia! Są przecież kobiety, które w swej nienawiści i wściekłości nie znają granic, jeżeli widzą, że są zdradzone!

Baron zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

— Książę nie utrzymywał w Paryżu z nikim żadnych stosunków. Wiem to zupełnie pewnie.

— Czy pan wie także, czy książę wcześniej, podczas podróży nie utrzymywał bliższych stosunków z jaką kobietą, z którąby potem wbrew jej woli zerwał?

Uderzony tem, spoglądał Brepont na mówiącego. O tem nie pomyślał on rzeczywiście, chociaż takie przypuszczenie można było bardzo łatwo zrobić. Książę był młody, elegancki i bogaty, podróżował przez kilka lat po nowym i starym świecie i przy tej sposobności mogła się wydarzyć tego rodzaju miłosna awantura.

— Gdybym mógł był coś takiego przypuścić — westchnął baron.

Bernard odrzekł z uśmiechem:

— To może się wydarzyć w najlepszych kołach, panie baronie. Dotyczy to osoby, która nas bliżej obchodzi; nadajemy też temu zdarzeniu silne znaczenie.

— Cóż myśli pan teraz robić? — zapytał baron. — Oświadczam otwarcie, że jestem jakby otumaniony, i nie wiem, co począć.

— Najpierw proszę pana, panie baronie, aby pan baronównie nic nie wspomniał o liście księcia...

— Potrzebuje ona koniecznie spokoju, aby powrócić mogła do równowagi.

— Pozwól mi pan zapytać, co słychać z baronówną?

— Dzięki Bogu, lepiej! — odpowiedział baron. — Leontyna wstała właśnie z łóżka i może nawet przyjmować wizyty. Właśnie u niej stary nasz znajomy, którego poznaliśmy swego czasu w Mentonie, czy w Nizzie, markiz de Lerma.

Na wspomnienie tego nazwiska, wzdrygnął się detektyw miwowolnie i rzekł z wymuszonym spokojem:

— Bardzo się z tego cieszę, panie baronie i dołączam odrazu prośbę. Czy nie mógłby mi pan towarzyszyć do baronówny? Chciałbym zamienić z nią parę słów. Dlaczego to czynię, to tymczasowo zachowuję dla siebie. Wytworzy się mała, lecz tym razem zupełnie nieszkodliwa tajemnica!

Baron podniósł się z krzesła.

— Moja córka gotowa się jednak przerazić, gdy się dowie, że przyprowadzam jej urzędnika sądu karnego!

— Chciałem pana właśnie prosić, byś mię przedstawił, jako swego dawnego znajomego. Pod żadnym warunkiem nie może paść przy tem słowo „policya“. Okolicznościowo interesuje mnie markiz de Lerma. Muszę przy tem, niestety, powiedzieć panu, że nasza polityczna tajna policya zajmuje się już oddawna markizem. Przedewszystkiem ostrożność! Markiz jest, zatem i dla mnie, pod pewnym względem zajmującą osobistością! Nigdy nie można wiedzieć, na co może się przydać tego rodzaju spotkanie!

— Co dotyczy markiza de Lermy, to mogę panu powiedzieć, że tego pana znamy tylko z czasów naszego pobytu w Mentonie, gdzie on nadskakiwał Leontynie. Może żywił on wtedy jakie nadzieje, lecz te się nie urzeczywistniły. Dopiero przed kilku dniami wypłynął znowu w Paryżu i odwiedził mię. Zdaje się, że nie zapomniał dotąd o mej córce, bo zjawiał się każdego przedpołudnia by dowiedzieć się o stanie jej zdrowia. Ponieważ umie doskonale prowadzić rozmowę i posiada w sobie coś pociągającego do smaku kobiety, przeto przypadły jego odwiedziny do smaku Leontynie. My nie możemy mu nic zarzucić i jeżeli rzeczywiście mieszał się w sprawy polityki, to nie podlega to naturalnie mojej krytyce.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Barbaryzm wojska: Porucznik Karol Maager.

Barbaryzm wojska.

Smutnym, zaiste! jest los mieszkańców małych miasteczek galicyjskich, gdzie garnizon wojskowy obrał swe siedlisko. Nie jest to oczywiście regułą — w wielu wypadkach żyje załoga z cywilną ludnością w harmonii — a przynajmniej tolerują się wzajemnie. Częściej jednak bywa wprost odwrotnie: „zapadła prowincya“ jest widownią gwałtów, brutalnych napaści i wszelkiego rodzaju nikczemności, których uzbrojeni aroganccy „synowie Marsa“ dopuszczają się na bezbronnych, spokojnych obywatelach. Jeszcze smutniejszą i pożałowania godną okolicznością jest fakt, że sprawcami burd i krwawych zajść są zazwyczaj nie żołnierze, lecz ich przełożeni — oficerowie, uzurpujący sobie „iure caduco“ pretensye do zaliczania się w kadry inteligencyi. W wypadkach takich nie można bezwzględnie komendy obwiniać, która w własnym interesie poskramia wybryki butnych lejtnantów. Ale niestety! znajdują się w szeregach oficerskich ludzie pozbawieni wszelkiego zmysłu etycznego, najprymitywniejszych pojęć słuszności, sprawiedliwości i honoru — zarozumialcy, którym wydaje się, że jedna lub dwie gwiazdki na kołnierzu, lub mniej lub więcej ostra szabla — daje mu prawo do rozporządzania życiem i śmiercią ludności. Stosunki godne zaiste! Kamerunu lub kraju Hererów.

Widownią gorszących takich zajść jest już od dłuższego czasu Jarosław. Stacyonowani są tam huzarzy, a z grona oficerskiego nabył wśród miejscowej ludności — dosyć smutnej sławy z powodu burd i awantur — porucznik niejaki Karol Maager. W Jarosławiu wychodzi radykalny tygodnik p. t.: „Tygodnik jarosławski“, którego redaktor p. Artur Seelieb — piętnował z całą słusznością gwałty i bezprawia, których dopuszczają się oficerowie, a wśród nich prym trzyma ów Maager.



Barbaryzm wojska: Artur Seelieb.

Bohaterski porucznik uczuł się dotkniętym notatkami, pojawiającemi się w tygodniku i na swój sposób postanowił zemsty czy satysfakcyi na redaktora poszukać.

O godz. 12 w południe wyszedł p. Seelieb z Kasy chorych i nie przeczuwając nic złego, skierował swe kroki do starostwa. Wtem wypadli z ukrycia Maager z towarzyszami i chwyciwszy z nienacka p. Seelieba za gardło, podniósł go Maager do góry i z całej siły rzucił o ziemię. Leżącego na ziemi, począł Maager okładać szpicrutą. Lekarz sądowy skonstantował siedmnaście ran, z tego kilka na głowie, pod okiem itd. Egzekucya nie byłaby się tak prędko skończyła, gdyby nie widzowie, którzy się wmięszali i dzięki im uszedł pan Seelieb z życiem. Po egzekucyi gwizdnęli oficerowie na fiakra i odjechali.

Gdy wzburzony tłum przeciągał przez ulice Jarosławia, demonstrując przeciwko brutalnemu postępowaniu oficera — wpadli między publiczność huzarzy i płazując na prawo i lewo, turbując i kalecząc publiczność — „oczyszczali ulice“.

Jarosław pochlubić się może istotnie „wysoką kulturą“ swej załogi!

Ryciny nasze przedstawiają portrety „bohater-



Barbaryzm wojska: Leon Margl.



Poświęcenie kamienia węgielnego pod ochronkę w Wadowicach: Ks. biskup Nowak dokonuje aktu poświęcenia. Fot. E. Dudka, Wadowice.

skiego“ porucznika Maagera, ofiarę jego brutalności redaktora Seelieba, oraz p. Margla, współpracownika „Tygodnika jarosławskiego“, którego również parokrotnie obito.

Poświęcenie kamienia węgielnego pod ochronkę w Wadowicach.

Czem są dla rodziców uboższych, nie mogących więcej czasu poświęcać swoim dzieciom, ochronki, o tem nie potrzebujemy dużo pisać. Zamiast dzieci pozostawiać w domu, gdzie mogą łatwo stać się powodem nieszczęścia, rodzice, nieraz cały dzień poza domem zajęci, wysyłają je do ochronki. I są już o maleństwa spokojni, bo wiedzą, że dzieci ich znajdą w ochronce nie tylko zabawę i rozrywki, tak dla młodocianego wieku potrzebne, ale też znajdą tam pożyteczną pracę, ich wiekowi odpowiednią, że nauczą się tam pierwszych początków czytania i pisania, co im się, kiedy pójdą do szkoły tak bardzo przyda. A pieczę nad dziećmi mają w ochronkach dobroduszne mateczki, po największej części siostry Nazaretanki, które pracy nad wychowaniem małych dzieci poświęcają się ze szczególnem zamiłowaniem.

To też w ostatnich czasach coraz częściej słyszymy o powstawaniu nowych ochronek; dzisiaj niema już prawie miasteczka, któreby nie miało swej ochronki. Najlepszy dowód, jak ochronki te spełniają swoje zadanie i jak są potrzebne.



Śmierć kapłana patryoty: Ksiądz Centt.

W ubiegłym tygodniu odbyło się w Wadowicach uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod ochronkę SS. Nazaretanek. Aktu poświęcenia dokonał wśród tłumnie zebranej publiczności ks. biskup Anatol Nowak z Krakowa. Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya przedstawia tę uroczystą chwilę.

Zgon arcybiskupa Szembeka.

Placówka katolicyzmu w Rosyi, tak ważna z powodu ciągłej propagandy prawosławia, zachwiała się znowu z śmiercią arcybiskupa Szembeka.

Wiadomość o nieodżałowanej stracie tak czynnego i energicznego duszpasterza, jakim był arcybiskup Szembek, pokryła świat cały wielką a prawdziwą żałobą. Doniosła ona krótko, że ceniony duszpasterz zmarł w Alwerni pod Krakowem, zapadłszy kilka tygodni przedtem na tyfus brzuszny. Choroba, która zrazu nie przybierała większych rozmiarów, tak, że arcybiskupowi Szembekowi nie zdawało się grozić poważniejsze niebezpieczeństwo, wzmogła się najniespodziewaniej, sprowadzając wreszcie śmierć.

J. E. ks. hr. Jerzy Szembek, były biskup płocki, ostatnio zaś arcybiskup metropolita mohylowski, ujrzał światło dzienne w r. 1851 w Ujściu, w gubernii podolskiej, urodził się z ojca Józefa i matki Józefy z hr. Moszyńskich. Początkowe studya pobierał w Królestwie, na wyższe przybył do Krakowa, gdzie wybitne jego zdolności prawnicze przepowiadały mu świetną karyerę. Celem dokładniejszego poznania prawa udał się do Wiednia, a przykładając się z całych sił do nauki zyskał wnet potrzebne wykształcenie prawnicze.

Początkowo nie myślał wcale o życiu duchownem, wnet jednak odezwało się w nim powołanie; w 30 roku życia wstępuje do seminaryum duchownego w Saratowie, gdzie za nadzwyczaj energiczną działalność duchowną zajął wkrótce stanowisko proboszcza.

Niezwykłe jego wykształcenie zwróciło na niego ogólną uwagę. W r. 1901 zostaje biskupem płockim i tutaj dopiero pokazują się w całej pełni jego świetne zdolności.

Na tem stanowisku nie pozostał jednak długo. Już w dwa lata później opuszcza je, aby dostąpić godności metropolity. Powołany na stanowisko arcybiskupa-metropolity, pracuje niestrudzenie aż do śmierci. W tak krótkim czasie umiał się wbić w pamięć swych owieczek, jego łagodność w obejściu znaną była szeroko.

Energiczna działalność, wymagająca niezwykłego trudu, wyczerpywała zwolna arcybiskupa. Udał się więc dla poratowania zdrowia do Marienbadu. Po drodze wstąpił do stryjecznego brata, mieszkającego pod Krakowem, tam też zapadłszy na tyfus brzuszny, dokonał świątobliwego żywota.

Kościół katolicki w Rosyi ponosi z śmiercią arcybiskupa Szembeka niczem nieodżałowaną stratę, w osobie zmarłego traci on niezwykle wytrawnego i energicznego przedstawiciela.

Podajemy obok portret zmarłego dostojnika kościoła.



Zgon arcybiskupa Szembeka: J. E. Jerzy hr. Szembek.

Zgon kapłana patryoty.

Kapłan, pasterz dusz, to stanowisko nie tyle zaszczytne i pełne chwały, jak wymagające nadzwyczajnego poświęcania się dla dobra swoich owieczek, jeżeli kapłan ma być rzeczywiście szafarzem łask Chrystusowych, koicielem bólów i ran serdecznych. W historyi naszej mamy cały szereg takich kapłanów, którzy do dziś dnia stoją nam przed oczyma, jako żywe obrazy tego, czem powinien być kapłan.

W cichej celi zgromadzenia księży emerytów w Krakowie, zakończył w ubiegły tydzień tułaczy żywot jeden z tych kapłanów, który na narodowym działali polu i pozostawili po sobie pamięć zacnych patryotów. Mówimy o księdzu Wawrzyńcu Centcie.

Śp. ks. Centt, urodzony 1823 r. w mieście Koźminku, w województwie Kaliskiem, początki nauk pobierał w domu rodziców, następnie w pensyonacie u OO. Bernardynów w mieście Warcie. Po ukończeniu szkół w Kaliszu, wstąpił do seminaryum duchownego we Wrocławku. Wyświęcony na kapłana 1847 roku w miesiącu lutym, pierwszą mszę św. odprawił 19 marca w Koźminku, przeznaczony na wikaryat do wsi Witów pod Połowcami. Następnie śp. Centt został proboszczem w Sulejowie nad Pilicą, później kanonikiem katedry Podlaskiej W organizacyi narodowej w latach 1862/3, jako wojewoda kaliski, zdradzony w swoich czynnościach, schronił się do Paryża, pracując w gminie demokratycznej na Batygnolu. Po zniesieniu oblężenia Paryża przybył do Lwowa, a potem do Krakowa, tu mianowany został kapelanem i profesorem historyi i literatury w szkole rolniczej w Czernichowie. Po 5 latach wróciwszy do Krakowa, powołany był na penitencyarza u N. P. Maryi i na katechetę w seminaryum nauczycielskiem męskiem i zastępcę w seminaryum nauczycielskiem żeńskiem. Jako administrator kościoła N. P. Maryi, był także nauczycielem śpiewu Gregoryańskiego w seminaryum dyecezyalnem i w Tow. muzycznem na wydziale nauki dla organistów, dyrektorem i katechetą w szkole żeńskiej PP. Klarysek u św. Andrzeja. W dniu 1 września 1891 roku objął urząd rektora ks. emerytów. W latach 1894—1896 jego staraniem i pod jego zarządem dokonana została restauracya wewnętrzna i zewnętrzna zagrożonego upadkiem kościoła św. Marka. W r. 1897 w obecności sierot po bracie swoim i niektórych przyjaciół odbył w kościele św. Marka sekundycye 50-letniego kapłaństwa. Po długich dotkliwych cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, dokonał tułaczego żywota. Pokój jego duszy!



Tajemnicze morderstwo: Sauder rzuca się z nożem na stróża muzealnego. (Treść na str 9).

Ze świata

(Śmierć słynnego człowieka. — Monsieur Philippe cudowny lekarz i spirytysta. Pobyt jego na dworze carskim. — Powrót do Francyi. — Cudowny lekarz Jakób. — „Czerwony śmiech". — Taniec obłąkanych żołnierzy rosyjskich.

We Francyi, w małej mieścinie prowincyonalnej umarł znany do niedawna i bardzo wpływowy człowiek: *monsieur Philippe.* Paryski dziennik „Gaulois" podał zajmujący artykuł o panu Philippe, który nie był wcale podobnym do naszego Filipa z Konopi, skoro na dworze carskim umiał wyrobić sobie tak wpływowe a przytem intrantne stanowisko.

Monsieur Philippe, rzeźnik z zawodu, nazywał się Filip Laudard. Gdy jeszcze w Paryżu woły zabijał i sprzedawał mięso, już wtedy opowiadał, że przemawiają do niego zaświatowe głosy tajemnicze i że potrafi uzdrawiać zapomocą modlitwy i siłą swej woli. Kilka „cudownych" uleczeń, które były dziełem przypadku, zjednało mu pewną sławę. Filip Laudard, wyzyskał te pomyślne chwile. Wcisnął się do grona kabalistów i mistyków, a że był pomysłowy, wygadany i odważny aż do bezczelności, więc zjednał sobie wkrótce ogromne wzięcie pośród „wierzących" i prawdziwą, paryską sławę.

Car Mikołaj II, człowiek słabej woli, zdenerwowany i zabobonny, dowiedziawszy się o Filipie Laudard i jego „cudach", kazał go sprowadzić na dwór w Petersburgu. Otoczenie cara nie przeszkadzało temu, wiedząc, że z pomocą mistycznego rzeźnika tem silniej oplącze cara. Monsieur Philippe oczywiście pospieszył na dwór carski i odrazu wyrobił tam sobie poczestne stanowisko. Car i carowa ślepo wierzyli nowemu prorokowi i obsypywali go upominkami. Monsieur Philippe był z początku skromny, ale gdy się rozpatrzył w sytuacyi, zaczął snuć plany, daleko sięgające i tajemnie wyzyskiwać swój wpływ na cara. Naprzykład pewnego razu szef rosyjskiej tajnej policyi w Paryżu został nagle usunięty ze swojej w kilka dni po raporcie pisemnym, w którym na podstawie informacyj paryskich przedstawił w ujemnym świetle pana Filipa. Sam car dwa razy wystąpił z życzeniem wobec paryskiego wydziału lekarskiego i wobec rządu francuskiego: ażeby panu Filipowi wyrobić stopień doktora medycyny. Gdy jednakże pan Filip zaczął zanadto jednać sobie łaski cara i carowej, gdy dworacy i dygnitarze spostrzegli, że wpływ jego staje się dla nich niebezpiecznym, postanowili usunąć go. Rozpoczęła się gra intryg, a partyę przegrał monsieur Philippe. Car odwrócił się od niego i pomysłowy eks-rzeźnik przed dwoma laty musiał opuścić dwór carski. Powrócił do Francyi z pełnemi kieszeniami i tam oddał się dalszemu cudownemu leczeniu Umarł przed kilku dniami, syt sławy i uznania.

Przy tej sposobności należy dodać, że podobnie i po naszych wsiach trudnią się leczeniem chłopscy lekarze cudowni, znachorzy i znachorki, owczarze i domorośli chirurgowie do „naprawiania" zwichniętych lub złamanych rąk i nóg, tak i we Francyi mnóstwo jest podobnych samozwańczych lekarzy, którzy zbierają piękne fortuny a w dodatku uważają się za dobroczyńców ludzkości. Swoją drogą przyznać trzeba, że są pomiędzy nimi wyjątkowe osobniki, umiejące nieźle „naprawić" zwichniętą, to jest „popsutą" rękę lub nogę.

Najsławniejszym we Francyi cudownym lekarzem w ostatnim stuleciu był szeregowiec z pułku żuławów, który służył przy muzyce gwardyjskiej i znanym był powszechnie pod imieniem Jakób. W obozie pod Chalono w 1866 Jakób dokonał tylu cudownych kuracyj pośród swoich towarzyszów broni i okolicznej ludności, że marszałek Canrobert udał się do niego po lekarską poradę ze swoim reumatyzmem. Ale tym razem nie udała się dzielnemu Jakóbowi kuracya, zapewne z tego powodu, że marszałkowi Canrobertowi brakło wiary, nieodzownej w takich wypadkach.

Jakób trudnił się nie tylko praktyką lekarską, lecz także i teoryą. Napisał książkę pod tytułem: „Naturalna sztuka lekarska, albo sposób zachowania zdrowia i leczenia samego siebie." Wydawał także czasopisma p. t. „Revue Théurgique" (Przegląd teurgiczny, to znaczy do wywoływania duchów). Opuściwszy służbę wojskową, zamieszkał Jakób w Chalons, gdzie nabył mały domek na własność. Nad drzwiami tego domku widniał napis: „Kriszna" — imię indyjskiego mędrca. Jakób wobec swoich pacyentów zawsze wywoływał ducha Kriszny, odmawiał tajemnicze modlitwy, przez pół godziny kazał chorym stać nieruchomo, a potem dotykał ich i dawał im rady. Odchodzili wprawdzie nieuleczeni, ale zadowoleni i pełni wiary w skuteczność tej metody lekarskiej. I to wiele znaczy dla naiwnych prostaczków.

Niedawno ukazała się w Rosyi pod tytułem „Czerwony śmiech" książka, której autor Leonid Andrejew opowiada wstrząsające sceny na tle obłędu, panującego pośród armii rosyjskiej w Mandżuryi. Książka ta w Rosyi i za granicą wywarła ogromne wrażenie. ale zawarte w niej sceny dantejskie wywoływały u wielu wątpliwość co do swej prawdziwości. Obecnie pewien oficer rosyjski, który powrócił z placu boju na dalekim Wschodzie, ogłosił w „Gazecie Odeskiej" szereg wrażeń obozowych, które opisom Andrejewa dają zupełne świadectwo prawdy.

Wieczorem po przegranej jak zwykle bitwie — opowiada ów oficer — rozbiliśmy obóz. Naokoło smutne twarze, ciężkie serca, ludzie śmiertelnie znużeni. Nie było drzewa, ażeby ogień rozniecić, nie było żywności, nie było polowych lazaretów dla umieszczenia chorych. Na ciele, odzianem licho pękała skóra skutkiem mrozu, który sięgał co najmniej 25%. Co chwila przybywali do obozu maroderzy, którzy opowiadali, że w polu słyszeli zewsząd jęki i wołania o pomoc rannych żołnierzy. Musimy ich ratować! — zawołałem — kto ze mną pójdzie?

Nikt nie odpowiedział. Udałem się do generała. Odwrócił się ode mnie i poszedł dalej. Wyższy rangą lekarz, zagadnięty przeze mnie, odpowiedział: „A co zrobimy z rannymi? Nie mamy noszów, nie mamy lekarstw ani opatrunków, nie mamy potrzebnych przyrządów chirurgicznych, nic nie mamy". I również poszedł dalej po tej odpowiedzi, dodawszy słowa: „Dobra noc". Udało mi się wyszukać kilka noszów i zgromadzić kilkudziesięciu ochotników, z którymi wyruszyłem w pole.

Noc była ciemna, więc zapaliliśmy pochodnie. Ale już wnet za obozem jęki rannych wskazywały nam lepiej drogę niż światło. Od czasu do czasu wchodziliśmy niespodziewanie na stosy trupów ludzkich i ciał zwierzęcych, to znowu jakieś ręce chwytały mnie za nogi i konwulsyjnie ściskały je. Raz takie ręce chwyciły jakby w żelazne sploty nogi moje. Stanąłem i uczułem, że w obuwie moje wpijają się zęby, a równocześnie usłyszałem jakby skowyt psa. Mrowie mnie przeszło, gdy ujrzałem rannego, niemającego nóg od samych bioder. Krwawy tułów. Nie można go było oderwać od nóg moich, o ratowaniu go zaś ani mowy nie było. Dobito go więc kolbami. Tak skończył wierny sługa cara.

Po kilku godzinach mieliśmy już wrócić do obozu, gdy nagle usłyszeliśmy z dala krzyki i wycia. W brudno-żółtem świetle ujrzeliśmy kilkudziesięciu nagich lud i, którzy wywijając rękami i wyjąc, tańczyli do upadłego. Przy 25° mrozu tańczyły nagie postacie, pokryte ranami i czarną skrzepłą krwią. Niektórzy, pozbawieni nóg, czołgali się, wydając z bolu nieludzkie głosy, ale koniecznie chcąc brać udział w tym strasznym tańcu. Niektórzy mieli w rękach rewolwery, karabiny, pałasze i machali nimi groźnie. Gdy nas ujrzeli, rzucili się ku nam, wołając: „Idźcie sobie precz!" Padło kilka strzałów i jeden żołnierz z mojego oddziału stracił życie od kuli: Co miałem robić? Cofnąłem się z powrotem do obozu.

Owi ludzie, tańczący nago, byli obłąkanymi. Długo jeszcze słyszałem ich krzyki, wracając do obozu. Zimno rychło zapewne położyło koniec ich szalonej zabawie. Żaden z nich z pewnością nie doczekał świtu. Lepiej dla nich. W Rosyi niema dla nich miejsca — niema go dla obłąkanych i szlachetnych. *k. e.*

Legenda murzyńska.

Stwórca wszechświata, wielki odwieczny Duch miał dwóch synów.

Obaj ci synowie, Rakorjago i Ravao wraz ze swemi niańkami zstąpili z nieba aby zobaczyć, co się dzieje na ziemi. A wtedy w cudownym raju, nie znając ani pory deszczowej, nie znając trudów, ani wojny, żyli w przyjaźni ludzie i zwierzęta.

Gdy przyszli na ziemię boscy młodzieńcy, pokochało ich wszystko, co żyło i co było martwe, gdyż wszystkim i wszystkiemu nieśli radość i wesele.

Ale pewnego razu przyszli młodzieńcy nad morze i szli po falach, igrając z robami, które sznurem płynęły ich śladem, bawiąc się z ptakami, co stadem krążyły nad głowami pacholąt.

Zapadła noc ciemna, burzliwa. Ryby schowały się na dno, ptaki pofrunęły do ciepłych gniazd swoich. Obłoki, które igrały na niebiosach i rzucały błyskawicami, spłynęły w morze deszczem kroplistym.

A gdy słońce weszło, nikt już nigdzie nie zobaczył boskich młodzieńców.

I zasmucił się świat cały.

Niańki pacholąt poczęły ich szukać. Wszystko, co żyło: ludzie, ptaki, zwierzęta, wyruszyło szukać młodzieńców. Ruszyły się z miejsca nawet drzewa, krzewy, kamienie.

Szukali długo. Lata upłynęły, gdy wreszcie wszystko, co żywe było i nieżywe, zwróciło się do Stwórcy świata i poczęło błagać:

— Znużeni jesteśmy! Wskaż nam, gdzie synów twych szukać? Gdzie radość nasza? Gdzie wesele nasze? Już nam sił zbrakło, by szukać dłużej, a bez nich ciężko nam na ziemi.

— Zostańcie tam, gdzie się każdy z was znajduje! — rozkazał wielki Duch, Stwórca świata.— Synowie moi wszędzie. Wszędzie z sobą macie radość swą i wesele. Zostańcie na miejscu i tego, co wam potrzeba, szukajcie w sobie samych.

Spełniły się słowa Potężnego.

Ludzie, rozsypani w poszukiwaniach po całej ziemi, tam zostali, gdzie komu wypadło. Zwierzęta i kamienie, które zagłębiły się w ziemię, by szukać młodzieńców, zostały tam, gdzie je rozkaz zastał. To też krety, robaki, węże — rzadko wychodzą na powierzchnię ziemi; kamienie tylko ręka ludzka z ziemi wydobywa. Drzewa, które częściowo zdążyły się w ziemię zagłębić, wrosły w nią korzeniami.

Tylko woda, na której po raz ostatni widziano młodzieńców, woda, z której powierzchni zniknęli, woda, która milczała i nie powiedziała, gdzie się podzieli młodzieńcy, skazaną została, aby wiecznie falowała, wiecznie była w ruchu i nie zaznała spokoju aż do końca wieków.

Kącik humorystyczny.

Współczesne panny.

— Posiadasz rzeczywiście piękny zbiór pocztówek, kochana siostrzeniczko.

— Nieprawda? A co najważniejsza — każda od innego narzeczonego.

Podejrzane.

Gość: A cóż to za wino gospodarz mi podał?

Gospodarz: Chablis!

Gość: Co pan mówisz! To prawdopodobnie tylko imię chrzestne!

Z filzofii codziennej.

Największym posagiem bywa często oszczędność.

Tak zwana „opinia" przeważnie bywa rodzaju żeńskiego.

Największe brudy znajdują się właśnie u ludzi, co mają dużo na... mydło.

Z rozmów małżeńskich.

Żona: Wejdźże nareszcie ty pijany łotrze — żebym cię mogła za drzwi wyrzucić.

Na gimnastyce.

Nauczyciel: Panowie, raźniej, raźniej. Takie trochę upału powinno się przyjąć zupełnie na zimno.

Teorya a praktyka.

Ojciec: I znowu sprawiłeś mi ciężkie zmartwienie i znowu skłamałeś. Przyrzeknij, że to było raz ostatni

Mały Jasio: Przyrzekam tatusiowi!

— Dobrze! Zajrzyj-no kto tam dzwoni — jeżeliby komornik, to powiedz, żem wyjechał!

Podejrzane.

Doktor: Nie powinnaś pani brać tak lekko choroby męża. Należałoby pamiętać, iż dopóki ja go leczę, nie wyszedł jeszcze z niebezpieczeństwa.

Objaśnienie.

Student: Czemu to ciebie teraz wcale nie widać na wykładach?

Student B.: Bo albo tak brzydko, że wolę siedzieć w domu, albo tak ładnie, że wolę chodzić na spacer!

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Obrona Portu Artura, jakąkolwiek ona tam była, w każdym jednak razie przez 8 miesięcy ratowała honor oręża rosyjskiego.

Jakżeż nagrodzono bohaterskich obrońców?

Najnowszą nagrodą dla obrońców Portu Artura, jest — wedle zdania dziennika rosyjskiego „Nasza Żiźń“ — „wyszupasowanie“. Naturalnie po udekorowaniu ich poprzednio wstęgami i orderami. Wyszupasowanie!

To najświeższe rozporządzenie petersburskich władz miejskich, by włóczących się po ulicach Petersburga inwalidów odstawiano do miejsc przynależności, jest jednym z najszkaradniejszych objawów rosyjskiej korupcyi. Rozgoryczenie obywatelstwa z powodu tego najnowszego, haniebnego postępku czynownictwa jest tem większe, że skandaliczne jego powody ogólnie są znane. Rozegrały się one na otwartej drodze i rozgrywają się nieustannie w dalszym ciągu w oczach wszystkich, a nawet przedostały się już do prasy. Krótko powiedziawszy, inwalidom z Portu Artura zdefraudowano małe ich pensyjki w ministerstwie wojny. Żebrali o nie całymi miesiącami, a kiedy to nie pomagało, uderzyli w krzyk. I dlatego ci, co do niedawna uchodzili za walecznych obrońców ojczyzny, stali się teraz odrazu „szkodliwym żywiołem“.

Istnieją trzy kategorye obrońców Portu Artura: jenerał Stössel, który sam dla siebie stanowi jedną kategoryę i co do którego ciągle zachodzi wątpliwość, czy jest on jeszcze więziony, lub też czy go już uwolniono; następnie oficerowie wypuszczeni na słowo honoru i którzy nie mogąc teraz walczyć, dzięki swoim pensyom prowadzą życie bezczynne, a wreszcie: istotni obrońcy Portu Artura, w przeważnej części kalecy inwalidzi, którym dotychczas wolno było żebrać po rogach ulic, a którzy obecnie, ponieważ stali się niewygodnymi, zostaną wyszupasowani, „gdyż niepokoją żołnierzy w koszarach i podburzają niespokojne warstwy ludności“.

Do Petersburga powróciło mnóstwo z oblęganych w Porcie Artura, którzy byli tam zajęci w dokach okrętowych. Wielu z nich znajduje się w stolicy już od kilku miesięcy, nie mogąc doczekać się obliczenia swego zarobku, gdyż admiralicya z dnia na dzień to odkłada. By naradzić się w swem położeniu, odbyli oni w jednym z publicznych lokalów zgromadzenie. Żądają oni wypłaty ich gaży za jedenaście miesięcy oblężenia, jakoteż premij inwalidów, mimo wszelkich jednak starań i zabiegów, nie otrzymują odpowiedzi.



Z wojny ros.-jap.: Willa „Sagamore“, letnia siedziba prezydenta Roosevelta, w której zapoznali się pełnomocnicy rosyjscy i japońscy.

W rzeczywistości, biedacy, co za cara na dalekim Wschodzie pozostawili swe członki, stanowią dziś dla Petersburga plagę prawdziwą. Przywieziono ich tu z widowni wojny, ponieważ mieli pretensye o płacę, w Petersburgu jednak pozostawiono ich poprostu na ulicy. Bez pieniędzy, bez zajęcia, trapionych głodem i chorobami, wypuszczono na petersburski bruk. — W przeważnej części są to chłopi z oddalonych gubernij, w domu jednak głodują ich żony i dzieci i inwalidzi ci raczej lata całe tu wytrwają, niż powrócą do domu bez należnych im pieniędzy. Czekają więc i czekają, przymierają głodem, żebrzą, zapełniają dzielnice nędzy i naturalnie, stają się z czasem albo złoczyńcami, albo — „podżegaczami“.

W sądach stolicy mnożą się w sposób przerażający oskarżenia o kradzież żołnierzy, którzy z Dalekiego Wschodu powrócili. Z początku miano wzgląd na nich, teraz jednak okazała się potrzeba ochrony przed nimi. W nędzy swej sądzili oni, że nie istnieje dla nich nic niedozwolonego, stąd też i gwałty ich napełniały przerażeniem przedmieścia. Lepiej usposobieni poszukują jakiejkolwiek pracy, upominają się nieustannie w ministerstwie o swe dobre prawa, lub też łączą się z rewolucyjnymi robotnikami. — Ci, niegdyś walczący z wrogiem, mający prawo mieszkania w koszarach wojskowych, jako żywe dowody niewdzięczności ojczyzny są najlepszymi agitatorami przewrotu. Biorą oni udział we wszystkich konwentyklach żołnierzy, a na każde wezwanie do lojalności mają w zanadrzu jako druzgocący argument swój zalegający żołd.

W kołach wtajemniczonych opowiadają, że pieniądze dla nich zostały dawno już wyasygnowane, natomiast w dziale inwalidów i listach ich płac prowadzono tak niedostateczną kontrolę, że setki tysięcy rubli zniknęły w kieszeniach czynowniczych. W końcu zgromadzenia agitacyjne inwalidów przerodziły się w stałą instytucyę, posiadającą straszną siłę podniecającą. Cóż uczyniono z tem? Oto, ponieważ o płaceniu myśleć nie chciano, musiano pozbyć się niewygodnych wierzycieli w sposób inny: Bohaterowie Portu Artura zostaną więc wyszupasowani do swych wsi, gdzie wraz ze swemi rodzinami mogą swobodnie umierać z głodu. O jednem tylko zapomniała zgangrenowana biurokracya stolicy: jak wypadną następne mobilizacye, kiedy kraj cały zakażony zostanie tylu agitatorami przeciw wojnie?

Tymczasem, kiedy na ziemi amerykańskiej rozpoczęły się rokowania pokojowe, w Mandżuryi zanosi się coraz bardziej na walną bitwę. I marszałek Oyama i Liniewicz stoją w gotowości bojowej i lada chwila może się tam zacząć śmiertelny bój.

Dwie ogromne masy wojsk, zgromadzone z dwóch stron, jedne z największych, jakie kiedykolwiek w dziejach stały naprzeciw siebie, do boju gotowi patrzą na się nawzajem w jednej z najpiękniejszych krain na ziemi.

Provincya Kiryn jest rzeczywiście nieporównanie piękną, szczególnie nad rzeką Sungari. Białą



Z wojny ros.-jap.: Strzelcy syberyjscy w garnizonie władywostockim.

Górę i jezioro Smocze zaliczają się do cudów Azyi wschodniej. W lecie wygląda kraj ten jak jeden olbrzymi ogród, pełem bujnej roślinności, pokryty wspaniałym kobiercem kwiatowym. — W zimie na drogach i zamarzniętych rzekach panuje ruch niezwykle ożywiony; w tej bowiem właśnie części Mandżuryi są wielkie gościńce, łączące prowincyę Heilungszian na północy z Fengtien na południe. Jeżeli wkrótce nie przyjdzie do zawarcia pokoju, to okolica Kirynu stanie się strasznem, krwią zroszonem pobojowiskiem. Tymczasem pysznie wygląda ten kwiatami zdobny kraj: lilie wszelkiego rodzaju, kosaćce i krokusy pokrywają murawę, błękitne dzwonki kryją się w cieniu lasów; wśród zielonego prosa sterczą czerwone maki, a tam, gdzie las najbardziej gęsty, na zboczach pagórków ciemnego tła odbijają wspaniałe orchideje. Azalie pokryte niby śniegiem, drobnemi białemi kwiatami, kolumbiny o rozmaitych odcieniach barw jaśnieją wśród traw na łąkach; to też nic dziwnego, że wszyscy podróżni zgodnie mienią Kiryn ogrodem Mandżuryi.

Na całej przestrzeni 135.000 klm. gromadzi Kiryn niezliczoną ilość wyjątkowej piękności krajobrazów. Klejnotem Kirynu jest atoli jego wielka rzeka, największa z pobocznych Amuru. Sungari, która jest zarazem główną rzeką w Mandżuryi, wypływa w romantycznej okolicy, u stóp wiecznie Białej Góry, należącej do pasma, otaczającego naokoło jezioro Smocze. W tem jeziorze, poświęconem smokowi, który uchodzi za boga deszczu, znajduje się źródło rzeki Erlataochang, stanowiące wschodnie ramię Sungari. W odległości 15 klm. od miejsca, gdzie z północnej kończyny tego jeziora wypływa Erlataochang, są źródła Jalu, o 45 klm. dalej rozpoczyna bieg rzeka Tjumien.



Z wojny ros.-jap.: Pałac w Portsmouth, w którym odbywają się konferencye pokojowe.

Drugie, główne ramię Sungari powstaje o stóp jednego ze zboczy Białej Góry. Tworzy dwa wspaniałe wodospady, z których jeden 150 stóp wysokości, stanowi źródło właściwej Sungari. W gwałtownym pędzie płynie ona przez las, położony poniżej jeziora Smoczego, a następnie toczy się pełnem niezliczonych zakrętów łożyskiem wśród gór i łąk, ogrodów i pól. Przebieżywszy 1300 klm., wreszcie 220 klm. powyżej Chabarowska, wpływa do potężnego Amuru. Setki pięknych wiosek i kilka znaczniejszych miast leży na brzegu Sungari. Najważniejsze z nich to miasto Kiryn, stolica prowincyi, Boduno, Sansing i Tsiczeng.

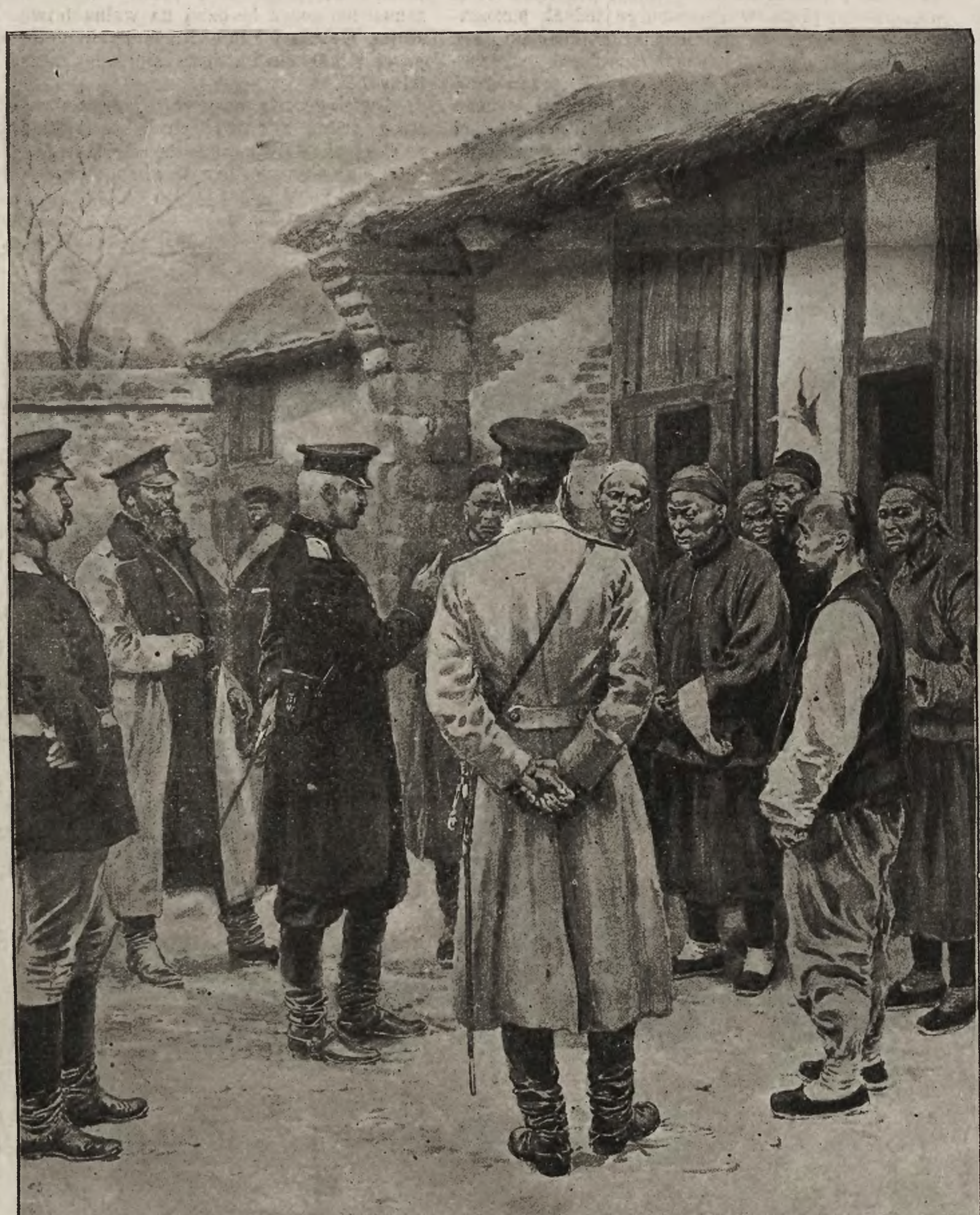
Uwagi godnem jest przedewszystkiem miasto Kiryn. Jak na stolicę prowincyi o ośmiu milionach mieszkańców posiada Kiryn wcale nieliczną ludność, gdyż tylko około 100.000 mieszkańców. Port jest ruchliwy. Z gór, pokrytych olbrzymiemi lasami sosnowemi, spławiają rzeką Sungari wielką ilość drzewa do Kirynu, który oddawna słynie jako punkt centralny wielkiego wschodnio-azyatyckiego handlu budulcem. Chińczycy zwą „Kiryn“ miastem szczęśliwego lasu, krajowcy zaś nadają nazwę Chuan-Chang, t. j. warsztatów okrętowych, gdyż tutaj budują wielką ilość dżunek rzecznych. — Kiryn jest głównem miejscem wyrobu łodzi i czułen na całą Mandżuryę, a w pobliskich miejscowościach wydobywają nadto złoto, srebro, miedź i żelazo w niezwykłej ofitości. Mieszkańcy gromadzą też niejednokrotnie wielkie bogactwa.

Pod względem strategicznym posiada Kiryn nader korzystne położenie. Z tyłu ciągną się w półkole niskie pagórki, które łagodnie zbiegają się ku miastu, a z przodu płynie na 1200 stóp szeroka rzeka Sungari. Rosyanie przetransportowali parowce z Chabarowska rzeką aż do samego Kirynu. Dalej w górę jest Sungari dostępną już tylko dla dżunek, Kiryn będzie daleko trudniejszy do zdobycia, aniżeli Mukden. Liniewicz, a także Rennenkampf znajdują się na dobrze znanem sobie terytoryum, gdyż obaj walczyli już tutaj w r. 1900 podczas powstania bokserów.

Najkorzystniej przedstawia się miasto Kiryn w zimie. Rzeka Sungari, pokryta wtedy grubą powłoką lodową, służy jako wyborny gościniec komunicyi handlowej. Po zamarzniętej rzece, jakoteż na wszystkich drogach, wiodących do miasta, snują się długie szeregi wozów, naładowanych winem, oliwą, suszonemi grzybami, herbatą, towarami bławatnemi, rogami jeleni, owocami i trumnami. Zimową porą najżywiej pulsuje życie w Kirynie. Wielkie, brudne domy zajezdne wraz z olbrzymiemi dziedzińcami są przepełnione. Gromady mułów i wołów wypełniają wolne place. Woźnice wałęsają się wśród domów, lub pochłaniają w restauracyach pospiesznie zupę z ryżu, gotowane proso, pieczoną wieprzowinę lub baraninę i popijają grzane wino. W lecie, zwłaszcza podczas pory deszczowej, która trwa do końca sierpnia, staje się pobyt w Kirynie niemiłym. Najprostsze przepisy sanitarne są nieznane. Szeroka rzeka Sungari występuje z brzegów, a zachodnia cześć miasta stoi często całymi dniami pod wodą. Wszystkie ulice wewnątrz starych murów miasta, zbudowanych w średnich wiekach z gliny i nieobrobionego kamienia, stają się brudne i błotniste. Nad rzeką znajdują się wielkie składy i całe stosy nagromadzonych trumien, któremi handel kwitnie na wielką skalę.

Z okazyi obecnej wojny rosyjsko-japońskiej warto przytoczyć kilka dat z większych wojen XIX stulecia, mogących ułatwić drogą porównawczą utworzenie sobie wyobrażenia o rozmiarach wojny obecnej:

Ilość wojska na teatrze wojny: W roku 1812: Francuzi 442.000 ludzi i 1.200 dział (pod Berezyną już tylko 68.000); Rosyanie 220.000 ludzi, 940 dział. W wojnie 1866 roku: Austrya 512.000 ludzi i 1.042 dział; Prusy i Włochy 550.000 ludzi i 1368 dział. W wojnie 1870/71: Niemcy 630.000 ludzi i 1.742 dział; Francuzi 600.000 ludzi i 1.000 dział.



Z wojny ros.-jap.: Rosyjski oficer wypytuje Chińczyków o ruchy Japończyków.



Z wojny ros.-jap.: Rosyanie na biwaku.

Ilość wojska w pojedynczych bitwach lądowych: Lipsk 16 do 18 października 1813 razem 427.000 ludzi i 2.000 dział. — Grochów dnia 25 lutego 1831 razem 127.000 ludzi i 370 dział (z tego Rosyanie 72.000 ludzi i 250 dział, Polacy 55.000 ludzi i 120 dział). Königgrätz dnia 3 lipca 1866 436.000 ludzi i 1.550 dział. St. Privat dnia 18 sierpnia 1870 300.000 ludzi i 1.250 dział.

Straty w pojedynczych bitwach lądowych: Lipsk: Zjednoczone państwa straciły 48.000 zabitych i ranionych, 5.000 zaginionych, razem 53.000 ludzi straty, czyli 17 prc. Francuzi 45.000 zabitych i ranionych, 15.000 w niewoli, 325 armat, razem 60.000 ludzi straty czyli 34 prc. — Grochów: Rosyanie 9.400 zabitych i ranionych czyli 13 prc. Polacy 12.000 zabitych i ranionych czyli 21 prc. — Königgrätz: Prusacy 9.000 zabitych i ranionych czy li4 prc. Austryacy 24.000 zabitych i ranionych, 20.000 w niewoli i zaginionych, 187 armat, razem 44.000 ludzi straty, czyli 20 prc. — St. Privat: Niemcy 20.000 zabitych i ranionych, czyli 10 prc. Francuzi 8.000 zabitych i ranionych, 4.000 w niewoli, razem 12.000 ludzi straty czyli 10 prc.

Bitwy morskie: Trafalgar 21 października 1805: Anglicy posiadali 27 okrętów wojennych, żaden niestracony, 2.500 ludzi straty. Francuzi 33 okrętów wojennych, z tego 19 zatonęło, 4 po bitwie wzięte, 7.000 straty w ludziach. — Lissa 20 lipca 1866: Austryacy 27 okrętów wojennych, żaden niestracony, 170 ludzi zabitych i ranionych. Włosi 34 okrętów wojennych, z tego 2 zatonęło, 11 niezdolnych do walki. 860 ludzi straty.

Oblężenia: Sebastopol od 9 października 1854 po 8 września 1855: Rosyanie 75.000 ludzi i 1147 dział. Zjednoczeni 170.000 ludzi i 814 dział. — Strassburg od 13 sierpnia do 27 września 1870: Niemcy 40.000 ludzi i 168 dział oblężniczych oprócz polowych. Francuzi 23.000 ludzi i 400 dział wogóle.

Największa objętość obszaru wojny: Rok 1812 — 450.000 kilometrów kwadratowych. Napoleon zrobił z nad Wisły do Moskwy 1500 kilometrów drogi, przyczem przeciętnie przypada na jeden dzień 20 kilometrów drogi.

Inne liczby statystyczne: W roku 1870/71 mieli Niemcy w lazaretach polnych 300.000 leczących się, pomiędzy tymi 90.000 ranionych; 240.000 z nich musiano zwolnić od dalszych obowiązków wojennych. W szpitalach na tyłach armii było oprócz tego 512.000 słabych. Razem więc w szpitalach leczyło się podczas wojny 812.000 ludzi. Zabitych było tylko 40.000. — Na zdobycz wojenną złożyło się 5500 armat fortecznych, 800.000 strzelb, 100 chorągwi i orłów, 2000 armat polowych i mitraliez. Wojna ta kosztowała Francyę 14 miliardów franków.

Największe wiadome straty w ludziach w jednej bitwie pojedynczych oddziałów są następujące: Rosyanie pod Plewną pojedyncze kompanie 75 prc. Mars la Tour: Niemcy, 16 pułk piechoty 68 prc. Francuzi, 3 pułk grenadyerów gwardyi 52 prc. — St. Privat: Pruski batalion strzelców gwardyi 100 prc. oficerów i 44 prc. ludzi.

Stosunek ran od kul karabinowych i pocisków armatnich był następujący: W roku 1866: od kul karabinowych odniosło rany 79—90 prc., od pocisków armatnich 3—16 prc. W roku 1870/71 od kul karabinowych 70—94 prc., od pocisków armatnich 5—26 prc.

Przeciętnie na każdy karabin padło podczas całej kampanii w roku 1866 u Austryaków 64 strzałów, w roku 1870/71 u Niemców 56 strzałów. Cyfrę tę trzeba jednak ściśle obliczać: oto jeden jedyny korpus (III niemiecki) pod St. Privat spotrzebował sam 1,150.000 strzałów karabinowych.

Zwykle zostaje zabitych i ranionych oficerów w stosunku do szeregowców 2—6 prc. Podczas kampanii w roku 1870/71 Niemcy stracili w ranionych i zabitych z całego kompletu armii 24 prc. oficerów, a tylko 12 prc. ludzi. Stosunek ranionych do zabitych bywa w bitwach zwykle 3 : 1; na czterysta strzałów karabinowych trafia przeciętnie tylko jeden.

Z rycin, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, najwięcej uwagi zwracają dwie, mianowicie pałac w Portsmouth, w którym odbywają się rokowania pokojowe, oraz willa prezydenta Roosevelta, w której po raz pierwszy spotkali się pełnomocnicy japońscy z rosyjskimi. Na pałac w Portsmouth zwrócone są oczy całego świata. Tam bowiem ma się rozstrzygnąć pytanie: Wojna, czy pokój?



Z wojny ros.-jap.: Uroczysty obchód po zwycięstwie admirała Togo pod Cuszimą w parku Hibiji w Tokio

KRONIKA LWOWSKA.

(Bitwa w bożnicy. — Leonidas i Xerxes. — Przed sądem wojennym. — Gdzie będzie zawarty pokój. — Drożyzna mięsa a magistrat. — Komisya drożyźniana. — Komisya teatralna. — Czego p. Getritz nie mógł zrozumieć? — „Po co“. — Kiszka magistracka a figle z wodą. — Słówko o ptakach niebieskich. — Sami filantropi. — Jakie pory. — Redaktorowie. — Kiedy to wychodzi na jaw? — Letnicy w mieście i w aresztach. — Kradzieże w hotelu George'a. — Koniec kanikuły. — Powrót żony. — Niespodzianka. — Brama zamknięta. — Mąż pogrążony we śnie. — Wyrzuty i odpowiedź. — Przeprowadzka w nocy. — Morał dla żon).

W bożnicy przy ul. Węglanej stoczyła się w tym tygodniu bitwa, która w głównych zarysach, mutatis mutandis, przypomina Termopile, Waterloo i inne pamiętne w dziejach miejsca.

Garstka dzielnych mężów z Leonidasem = Scharfsohnem na czele wtargnęła na terytoryum o wiele liczniejszego nieprzyjaciela, na którego czele stał Xerxes = Ebner Mojżesz, z wezwaniem, by poddał się i złożył stosowny okup. Lecz dumny Xerxes ani myślał o poddaniu się, a zuchwałemu intruzowi Leonidasowi kazał odpowiedzieć dumnie: „Idźcie na złamanie karku, nie boimy się was, bo pulpity, parasole, pantofle i laski nasze są tak gęste, że zaćmią słońce“. „Tem lepiej — odpowiedział zuchwały Leonidas — będziemy w cieniu uciekać!“ Xerxes = Ebner odbył ze swoją świtą krótką naradę wojenną, na której postanowiono walczyć do upadłego. Na dany znak rozpoczęto walkę. Była to walka, godna pióra Homera. Bez broni palnej, nawet bez łuków i kołczanów, ścierali się zapaśnicy a tylko naprzód na języki — całkiem jak u Homera, a dopiero po pojedynku językowym przyszła kolej na zapasy fizyczne. Całą falangą rzuciła się armia Xerxesa na zuchwałą garstkę leonidasową a ta broniła się rozpaczliwie z nadludzkim wysiłkiem. Laski, parasole, trzewiki, pantofle, pulpity, tabakiery, puszki, księgi i kalosze bujały w powietrzu, odbijając się o głowy, czoła i nosy walczących. Sam Xerxes = Ebner nie walczył, a tylko jako wódz udzielał wskazówek i kierował walką z pod stołu, pod który się schował, pamiętając o tem, że w pierwszym rzędzie należy uchronić wodza, bo gdy jego zabraknie, bitwa przegrana na pewne. Nie tak myślał zuchwały i lekkomyślny choć jak lew dzielny Leonidas-Scharfsohn, który sam osobiście walczył z wrogiem. To też liczny nieprzyjaciel pojmał go wkrótce, nakrył obrusem, poczem walono w dzielnego wodza, jak w bęben. Legł...

Wobec nierównej walki zażądano posiłków. Odsiecz przyszła z sąsiedniej policyi i zastała dzielnego Leonidasa poległego. Leżał z tą samą dumą, z tą samą odwagą, z tym samym spokojem, tylko nie z tym samym nosem, bo w walce ten ostatni stracił dawny regularny fason, choć zyskał na bogactwie kolorów. Na widok odsieczy rozpierzchli się wojownicy, choć w znacznej liczbie pojmani, musieli stanąć przed sądem wojennym c. k. komisarza policyi. I sam Leonidas stanął przed obliczem komisarza, a po drugiej stronie zajął miejsce Xerxes. Do zawarcia pokoju przyjdzie dopiero za interwencyą sądu karnego, a na pobojowisku, na bramie historycznej jużdziś świątyni przy ul. Węglanej widnieje jako jedyna pamiątka bitwy skromny napis: „Przechodniu! Idź i powiedz ziomkom swoim, ażeby dobrze schowali skradzioną podczas bitwy puszkę składkową, zawierającą 24 koron dla ojczyzny“.

Umilkła wrzawa wojenna, ucichły oręże, parasole i laski wróciły do codziennego użytku, a lwowianie do codziennych zajęć i kłopotów. Jednym z tych kłopotów jest obecnie drożyzna mięsa. Rzeźnicy lwowscy, namówieni podobno przez jaroszów, wyśrubowali cenę mięsa tak wysoko, że już naprawdę przebrała się miarka cierpliwości konsumentów, a czego za wiele, tego i obywatel lwowski nie lubi. Mimo to pan prezydent Michalski jeszcze dotąd nie powiedział sobie: Tak długo nie będę spać spokojnie, dopóki nie znajdę kurczęcia w garnku każdego chłopa lwowskiego. I śpi spokojnie p. prezydent, a u stóp jego śpią morzeni drożyzną spokojni i cierpliwi obywatele, a rzeźnicy śrubują ceny z całym spokojem zasłużonych przy wyborach mężów, nie bojąc się ani rady miejskiej, ani jej naczelnika, ani komisyi drożyźnianej, która jest a której niema, ani gróźb i rad dzienników, ażeby na wzór taniego opału miejskiego, założyć gminne jatki celem obniżenia i uregulowania cen mięsa.

Jeżeliby kto zwykłym trybem chciał wartość działalności sądzić po skutkach, musiałby przyjść do przekonania, że istniejąca w łonie lwowskiej rady miejskiej komisya **drożyźniana** zasługuje całkiem słusznie na tę nazwę, bo od czasu jej istnienia wszystkie artykuły konsumpcyjne niesłychanie podrożały. A cel jej miał być inny. Miała zapobiegać drożyźnie. Dziś mogłaby zapobiedz drożyźnie mięsa przez założenie jatek gminnych na wzór wiedeńskich, ale ona drzemie...

Natomiast inna komisya obudziła się ze snu, komisya teatralna. Był czas, kiedy spodziewano się grubych zysków z teatru, kiedy komisya teatralna miała znaczenie gospodarza teatru, nadzorując stronę finansową i moralną tj. repertuarową naszego teatru. Dziś, kiedy już sobie dawno wyperswadowaliśmy, że do teatru miejskiego trzeba nawet dokładać, a na repertuar nikt prócz samego dyrektora wpływu mieć nie może i nie ma, cała ta komisya teatralna złożona aż z ośmiu członków ma tylko chyba za zadanie chodzić w wolnych chwilach na premiery, poza tem żadnych funkcyj ni żadnego znaczenia nie mając. Aliści i technicy zasmakowali w bezpłatnej loży teatralnej i nuże żądać, ażeby komisyę teatralną powiększyć o dwóch członków i wprowadzić do niej dwóch techników. Tutaj powinien był radny p. Getritz spytać: „Ta niby po co?“ — tak, jak spytał przy omawianiu sprawy zbudowania łazienek przy jednej ze szkół miejskich.

Bo p. Getritz nie mógł zrozumieć, na co i czy wogóle potrzebne są łazienki dla dzieci szkolnych, skoro one 1) kąpią się w lecie we własnym pocie, 2) w zimie nikt wogóle nie potrzebuje kąpieli a 3) do czego kąpiel się przyda, skoro i tak bachor po wyjściu ze szkoły wysmaruje się w mieście, jak grajzlernik lwowski. Długo perswadowano panu radnemu Getritzowi „po co“ te kąpiele dla dziatwy szkolnej są potrzebne, nawet pan Czarnecki z Łyczakowa, który miał kilkanaście gotowych wniosków w zanadrzu, a kilkaset interpelacyj na samym koniuszku języka, odłożył wszystko na bok, aby ująć się za dobrą sprawą, a p. Getritz jeszcze dotychczas nie może zrozumieć „po co“.

Czemu jednak żaden z pp. radnych nie zainterpelował pana prezydenta, czy mu co wiadomo o tuszach na ulicy, co prawda bezpłatnych, ale nie zawsze pożądanych. Bo pachołkowie magistraccy są dżentelmenami. Czego mają żałować wody, kiedy „gorąc“ dopieka i każdy chciałby się z gustem ochłodzić. Staje tedy taki mąż magistracki nad hydrantem, bierze w rękę „kiszkę“ magistracką i skrapia ulice. Jest to rzecz wielce chwalebna i pożądana. Ale takiemu funkcyonaryuszowi figielki w głowie. Oto, gdy mu się która z przechodzących niewiast podoba, albo który z mężczyzn nie podoba, urządza im niespodziewany tusz, skrapiając obficie od stóp do kapelusza. Można sobie wyobrazić, jak po takim tuszu wygląda elegancka dama w powiewnej fularowej lub batystowej sukni. To też po takim figlu śmieje się i sam figlarz i jego asystent i obok stojący policyant, a ta zbiorowa serdeczna wesołość zachęca figlarza do dalszych figlów.

Inni figlarze, zwani wulgarnie „ptakami niebieskimi“, stanowią temat do stałej rubryki w dziennikach i zasługują stanowczo na osobne studyum, nie zaś na zwykłą wzmiankę kronikarską. Od takich ptaszków roi się u nas, a dobrze im snać we Lwowie, skoro trzymają się go stale i zimą i latem. Bo u nas zawsze znajdzie się dość głupich, którzy się dadzą wykiwać lada — doktorowi. Przedewszystkiem są to doktorowie. Sami filantropi. Powodowani sercem, chodzą po domach zbierać składki. Zawsze na jakiś cel dobroczynny. Naturalnie... A więc na ośmiu medyków, na podupadłą rodzinę, na skrofuliczną pannę, mającą wyjść za mąż, na umierającą matkę pięciorga dzieci i t d. A gdy się zjawi taki elegancki pan, w czarnym tużurku, czasem z monoklem na oku, w lakierkach i rękawiczkach i przedstawi się „dr.“, to przecież żadna szanująca się pani nie odmówi mu datku „w dowolnej wysokości“, bo trzeba nadto wiedzieć, że ci panowie filantropi wybierają zawsze taką porę, ażeby męża, względnie ojca, nie zastać w domu. Kobiety mają jakoś lepsze serce, a co najważniejsze, krótszy nos. Przytem żałują, że pana dobrodzieja w domu nie zastał, ale w interesie tych biednych a nieszczęśliwych przyjmie i od dobrodziejki jakiś datek, bo wracać niema czasu. Ci robią *en gros*. Są tacy, którzy robią *en detail*. Ci wynajdują specyalne rodziny łatwowierne i naciągają pod najrozmaitszymi pretekstami. Na żądanie gotowi przyrzec małżeństwo. Bardzo często przybierają sobie wygodny tytuł i charakter: „redaktora“ lub skromniejszy „dziennikarza“. Na udowodnienie wystarczy bilet wizytowy. Taki redaktor nie zapomina nigdy biletów w domu. Jestto jeden z tych rzadszych tytułów, które przynoszą dochody, nie nakładając żadnych obowiązków pracy. Pan redaktor wszędzie się wśliźnie, wszędzie go zapozna, potrafi dziwnie dyskretnie przedstawić swoje żądanie, propozycyę lub coś podobnego i — przeważnie odnosi sukces, bo nikt nie chce zaczepiać czy „zarywać się“ z redaktorem. Takich redaktorów od nieistniejących dzienników jest we Lwowie kilka kop. A wszystko żyje i ubiera się dzięki swemu zawodowi bez tytułu czy tytułowi bez zawodu.

Tem się tłómaczy, że dziennikarze z zawodu we Lwowie niechętnie przyznają się do swego zawodu, aby się nie zetknąć z jakimś kolegą. Czasem tylko uda się wyłowić i zdemaskować takiego redaktora, a gdy stanie przed kratkami sądowymi, wychodzi na jaw cały szereg konceptów, tak dowcipnie obmyślanych, na jakie swoją drogą żaden galicyjski dziennikarz się nie zdobędzie.

Pod wspólne miano ptaków niebieskich podstawić można cały szereg „letników“, których tut. policya wyławia na ich letniskach, a raczej letnich noclegach. Są to draby, którzy przywędrowali tu z okolicy, albo też rodowici lwowianie, którzy żyją z kradzieży, przeważnie kieszonkowej w rynku. W nocy, zwłaszcza podczas kanikuły, śpią pod gołem niebem w ogrodach miejskich, na Wysokim Zamku, w parku Kilińskiego i w parku łyczakowskim. Śpią w krzakach lub na ławach, co im tylko na zdrowie wychodzi, bo i nie kosztuje i płuca oddychają swobodnie.

Nasza policya wyłapuje ich na noclegach, zamiast chwytać ich w rynku na gorącym uczynku.

Nie taki to jednak był złodziej, który operuje od dłuższego czasu w największym u nas hotelu George'a. W tym, na wskróś wielkopańskim hotelu, zdarzają się wypadki kradzieży w ostatnim roku o wiele częściej, aniżeli w innych hotelach podrzędnych. Ale bo też i zarząd obecny pozostawia podobno wiele do życzenia, ile że pamięta przedewszystkiem o interesie, nie zważając na dobór służby i... gości. Nawet i dla tynglówek z Colosseum stoją otworem bramy hotelu George'a. *Non olet*...

Kanikuła ma się ku końcowi. Wracają już żony i córy, świeższe, zdrowsze, lżejsze, a dla słomianych wdowców kończą się piękne dni Aranjuezu. Lwów powoli znów się zaludnia, a za tydzień wróci całe życie z powrotem rozświergotanych studencików w mundurkach.

Jeden z klubu słomianców miał brzydką niespodziankę. Bez zawiadomienia poprzedniego wróciła żona z Krynicy o cały tydzień za wcześnie. Tylko roztargniona kobieta mogła się zdobyć na taki krok. Za to spotkała ją należyta kara. Na dworzec lwowski przyjechała późną nocą. Fijakrowi musiała grubo zapłacić, przed domem musiała długo dzwonić na stróża, który w dodatku zgubił gdzieś klucz... Coś podobnego zdarzyło się jej po raz pierwszy — czekać z koszami i pudłami pod bramą! Nareszcie znalazł się klucz i pani weszła do swego domu. Mąż spał snem sprawiedliwego. Ale w mieszkaniu był mały nieład. Prawie przed drzwiami w kuchni znalazła część kostyumu damskiego. Zbudzony mąż nie umiał tego wyjaśnić. Ale za to nazajutrz beształ za coś stróża, który usprawiedliwiał się: „Co to gadać, i tak była sztuka za jedną godzinę wyprowadzić lokatora z mieszkania w nocy i nie wiedzieć, co jej a co nie jej — dość, że pani niczego się nie domyśla, a lokator spał u mnie, a rzeczy byli w piwnicy a dziś wszystko w porządku“.

Zaśmiał się małżonek dobrodusznie i wsunął poczciwemu stróżowi w łapę piątkę — nie za tę szybką przeprowadzkę współlokatora, ale za jego węch i czujność, za to, że z poza bramy poznał głos pani i dał znać panu, że niebezpieczeństwo się zbliża.

Pamiętajcie żony: nie wracajcie za wcześnie.

Kl.

Ostre podejrzenie.

— Pan chyba tylko przez pomyłkę zostałeś człowiekiem.

Dobra rada.

— Że też pan się nie żeni.

— Nic prostszego, kochana pani, nie dostałem tej, którą chciałem!

— To jeszcze nie powód; to weź pan taką, co nie dostała, kogo chciała i wszystko będzie w porządku.

Oburzenie.

On: Aniele! Czarodziejko! Boginko!

Ona: Tylko, proszę, bez tych niesmacznych porównań ze stworzeniami — mniej jeszcze, niż ja — zasobnemi w garderobę!

Smutne doświadczenie.

— Czy zna pan „nadludzi“?

Majster: Znam, niestety, są to ludzie, co nie płacą komornego; miałem jednego na kwaterze.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

12 (Ciąg dalszy).

Dwaj przyjaciele.

Tego dnia wieczerza w domu Springerów przeszła w milczeniu. Dwie jedyne osoby, które zwykle podtrzymywały rozmowę i wesołość, Cezar i Albertyna, nie otworzyli ust wcale.

Cezar miał bardzo poważną minę i od czasu do czasu spozierał z litością na Helenę. Cezar grał już swoją rolę. Albertyna zaś nie śmiała nawet podnieść wzroku na swoją kuzynkę, bo czuła, jak okropnie względem niej zawiniła, ale też za to co chwila spojrzenia pełne gniewu i oburzenia posyłała pod adresem matki i doktora, którzy pozornie nie zwracali nawet na to uwagi.

Kolacya skończyła się prędzej, niż zwykle i stryjenka opuściła zaraz pokój pod pozorem, że musi doglądnąć wieczerzę dla służby; Albertyna w milczeniu wzięła do ręki książkę i zagłębiwszy się w staroświeckim fotelu, zaczęła udawać ogromnie zaczytaną. Doktor Harras, pod pozorem pokazania Helence jakichś albumów, pociągnął ją na kanapkę, stojącą tuż przy drzwiach, prowadzących do pobocznego saloniku, a Cezar z poważną miną, tak głośno, że go wszyscy słyszeli, zwrócił się do ojca z prośbą o rozmowę w cztery oczy. Franciszek Springer, napozór zdziwiony, zgodził się na żądanie syna i obaj mężczyźni udali się do saloniku, zapominając, naturalnie całkiem przypadkowo, zamknąć drzwi za sobą.

Sam doktor musiał przyznać swym pionkom, że znakomicie odegrali powierzone sobie role. Zrazu rozmowa obu mężczyzn ograniczała się do niezrozumiałego prawie szeptu, aż wkońcu padło głośno wypowiedziane imię Heleny. Albertyna, choć udawała, że dalej czyta, nastawiła uszu; Helena okryła się ciemnym rumieńcem i zrobiła taki ruch, jakgdyby chciała odejść, ale doktor, wytrawny dyplomata, umiał ją zatrzymać przy sobie, a tymczasem za drzwiami rozmowa stawała się coraz głośnieji grano komedyę ściśle według wskazówek nieocenionego adwokata. Cezar występował w obronie kuzynki z takim zapałem, o jaki go Helena nigdy nie podejrzywała, stary Springer podniesionym tonem wymyślał mu od dzieci, które nie powinny mieszać się do postępowania starszych. Kłótnia przybierała coraz ostrzejsze formy i zdawało się, że lada chwila przyjdzie do katastrofy. A jednak uśmiechała się ironicznie. Zbyt dobrze znała brata, żeby go posądzać o taką wielkoduszność i czuła, że tu nowe sidła zastawiają na Helenę, nie mogła tylko domyśleć się, jakie, bo doktor, w którego oczach spodziewała się wyczytać rozwiązanie tej zagadki, miał swą zwykłą obojętnie słodką minę.

Nareszcie udało się Helenie wyrwać z rąk doktora, a raczaj doktor, sądząc, że to już niepotrzebne, wypuścił ją z swojej opieki. Krótko powiedziała Albertynie dobranoc i powróciła do swoich pokojów. Czuła, że Cezar nie był dla niej ani odrobinę sympatyczniejszy, a jednak zastanawiała się, czy, wydając sąd o nim, nie była zbyt niesprawiedliwą.

Na drugi dzień młody człowiek nie zjawił się przy obiedzie, a gdy stryj Franciszek gniewnym głosem zapytał się o niego, stryjenka Amalia ze zbolałą miną oświadczyła, że syn został w swoim pokoju, bo nie jest usposobiony do wzięcia udziału przy wspólnym stole. Helenka dobrze zrozumiała, że to są skutki jego wczorajszej kłótni z ojcem i zdawało się jej, że teraz dopiero pobyt w tym domu jest dla niej niemożliwym, skoro zaczyna być kością niezgody między ojcem i synem.

W parę dni później jacyś znajomi zaprosili do siebie Springerów na wieczór. Helenka także otrzymała zaproszenie, ale wymówiła się tem, że jest jeszcze w ciężkiej żałobie. W przekonaniu, że nikogo ze Springerów niema w domu, udała się do salonu i siadłszy w wygodnym fotelu, poczęła czytać książkę. Po chwili usłyszała szmer kroków, podniosła oczy i ku wielkiemu swemu zdziwieniu, ujrzała Cezara. Kuzyn przywitał ją z wielką powagą i tak delikatnie zapytał, czy pozwoli, aby jej dotrzymał towarzystwa, że nie mogła mu odmówić. Zaczęli rozmawiać, ale rozmowa rwała się, bo Cezar był jakiś dziwnie powściągliwy, milczący i zamknięty w sobie. Natomiast wciąż z wyrazem głębokiego smutku i politowania spoglądał co chwila na swoją kuzynkę. Przypadkowo jakoś urywana rozmowa ożywiła się i Cezar postanowił przypuścić pierwszy szturm na całym froncie.

Skromnie, ale z wielką żywością i ogniem w słowach zwrócił się do Heleny z prośbą, aby obdarzyła go zaufaniem, a nawet, jeśli może, to braterską przyjaźnią. Wyznał jej, że boleje nad jej położeniem i że dokłada wszystkich sił, aby pokonać opór doktora i wyrobić dla niej pozwolenie na powrót za ocean, ale, że dotychczas przynajmniej starania te nie przyniosły jeszcze żadnego skutku. Jemu samemu przykro by było wprawdzie, gdyby ona opuściła ten dom, ale cóż znaczy jego przykrość, skoro ona byłaby wskutek tego szczęśliwą.

Doktor Harras miał racyę! Helena była już w tem stadyum zwątpienia i rozpaczy, w której każda przyjaźń, nawet fałszywa, jest uważaną za dobrą. I teraz, choć nie mogła pozbyć się jeszcze początkowego uprzedzenia do Cezara, życzliwszem okiem zaczęła nań spoglądać.

— Dziękuję ci, Cezarze, za twoje współczucie! — rzekła z prostotą — które jest dla mnie tem milsze, im więcej istotnie czuję się opuszczoną i nieszczęśliwą, z czem nie kryję się nawet, ale pomocy twojej przyjąć nie mogę, bo nie chcę być przyczyną rozdwojenia między tobą, a rodzicami, tem bardziej, że ani stryj, ani opiekun nigdy nie zgodzą się na mój wyjazd do Ameryki!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

5 (Ciąg dalszy).

— Lecz musiałem pójść za panem moim... Powiedz, czyż mogę udać się do was? Gdyby to się stało w innym czasie, spełniłbym twe życzenie; lecz teraz jest to niemożliwe. Wzywa mię obowiązek rycerza.

Ostatnie słowa zamarły mu na ustach; pochylił głowę. Wuj przemógł wzruszenie, lecz ostrze jego miecza drgnęło.

Młodzieniec mówił dalej:

— Ciotka również okazała mi wiele dobrego i kochała mnie, jak rodzonego syna. Jakże się zasmuci, dowiedziawszy się o mojej śmierci! Gdyby to było możliwe, chciałbym ją zobaczyć raz jeszcze i podziękować. Chciałbym także pożegnać się z Janiną.

Tagenige słuchał milcząc, lecz, gdy usłyszał imię swojej córki, ukrył twarz w siodło i z oczu jego popłynęły łzy.

Młodzieniec ciągnął dalej:

— Ona również mnie kochała, wreszcie zachorowała, wuj i ciotka bardzo się o nią niepokoili. Nie mogłem dotrzymać danego jej słowa. Zaręczyli nas jeszcze w dzieciństwie. Lecz na nieszczęście przed naszym ślubem, państwo moi, Dajmio, poróżnili się ze sobą i nagle otrzymałem rozkaz poślubienia służącej ich, Wakaby. Pani sama rozmawiała ze mną.

— Byłem zmuszony ożenić się wbrew swej woli; nie mogłem nie ożenić się z Wakabą, chociażbyście wzięli mnie za nikczemnego człowieka, porzucającego swą narzeczoną.

— Przyjmijcie śmierć moją, jako karę zesłaną na mnie przez bogów.

Wuj odrzekł:

— Nie, nie, mnie a także i żonę moją ucieszyło małżeństwo twoje z Wakabą. Nawet córka moja była temu rada. Janina jest taka młoda, czyż mogła być odpowiednią dla ciebie żoną?

Usłyszawszy te słowa, Kosziro powstał, lecz z bólu upadł natychmiast na ziemię. Objął rękami kolana wuja i rzekł drżącym głosem:

— Wuju, tego już za wiele! Jeszcze dziś gniewasz się na mnie; dziś po raz ostatni widzisz znienawidzoną sobie twarz. Powiedz, że mi przebaczasz. Jeśli postąpisz inaczej, ja spotkam się wtedy z ojcem moim w życiu pozagrobowem! Wraz z przebaczeniem pójdę w drogę śmierci.

Oparł się o miecz i zbliżył się do śliwy. Zerwał kwitnącą gałązkę i podał ją wujowi, a dołączając promień swych włosów, rzekł:

— Wuju, włosy te daj ciotce na pamiątkę, a kwiaty oddaj Soszino. Jeszcze niedawno pragnęła mieć kwitnącą gałązkę z mego ogrodu. Każdego dnia pragnąłem dać jej kwiaty, lecz nie mogłem. Być może, tam również teraz kwitną śliwy... Niechaj przyjmie te kwiaty: jest w nich część mej duszy i oczami duszy ujrzę Soszino i ciotkę. Z pociechą tą umrę bez trwogi. Życzę ci, wuju, szczęścia na polu walki i długiego życia. Teraz pożegnajmy się na wieki. Jeśli nie skorzystam z tej sposobności, będzie już zapóźno.

Kosziro otarł łzy i z trudnością podniósł się. Słaniając się, uszedł kilka kroków, lecz wuj schwycił miecz i krzyknął:

— Poczekaj, Kosziro.

Kosziro zatrzymał się i zapytał:

— Co chcesz uczynić?

— Dokąd, dokąd ty? — krzyknął wuj.

— Na pole walki — brzmiała odpowiedź.

Wówczas wuj rzucił gniewnie:

— Milcz, tyle czasu przekonywam cię, a ty wciąż mówisz o śmierci.

Uśmiechnął się lekko.

— Jeśli tak nienawidzisz życie, pocóż masz koniecznie na pole bitwy? Ja, wuj twój, będę twoim przeciwnikiem; chociaż jestem stary, miecz takiego, jak ty człowieka, nie trafi w pierś moją. Uciąwszy mi głowę, możesz iść w bój, lecz póki jestem tutaj, nie postąpisz kroku. Więc, naprzód!

Skierował swój miecz na Kosziro.

— Smutna walka — rzekł młodzieniec.

Wuj, który mówił dotąd tak śmiało, nie był w stanie ukryć boleści. Głos jego drżał, gdy zakrzyknął:

— Smutno, co w tem smutnego? Boisz się? Dalej, naprzód! Ja niczego się nie obawiam. Czemu nie chcesz ze mną walczyć?

— W żaden sposób nie będę się z tobą bił. Przebij mnie swoim mieczem, błagam cię.

Wuj odrzekł:

— Nie zabijam bezbronnego. Bij się na placu boju lub tu, wszystko jedno. Zarówno tutaj, jak i tam zginąć można.

Kosziro odrzekł:

— Nie mogę tego uczynić. Przeciwnikiem moim — drogi wuj a miecz mój odziedziczyłem po ojcu. Czyż mogę walczyć z tobą tym orężem?

Miecz był rzeczywiście dobrą bronią, którą Kosziro odziedziczył po swym ojcu, Morimichi. Ujrzawszy miecz brata swego, wuj przypomniał sobie ostatnie jego słowa: „pozostawiam ci syna mego, mego syna, Kosziro".

Teraz stał przed nim Kosziro, cały poraniony.

Wuj rzucił miecz na ziemię i załkał głośno:

Tymczasem na polu bitwy wszystko przycichło.

Nagle na nowo rozległy się okrzyki zwycięskie: wznoszące się ku niebu.

Kosziro padł na kolana i wykrzyknął:

— O, niebo!

Schwycił miecz i chciał nim przebić sobie gardło.

Wuj ścisnął dłoń jego i rzekł:

— Nie spiesz się tak. — I odebrał mu miecz.

Podbiegł żołnierz wuja i padł na kolana przed swym panem.

— Wielkie zwyciestwo. Nieprzyjaciel cofnął się. Hurra!

Żołnierz spojrzał na pochyloną ku ziemi twarz Kosziry.

— Panie Kosziro, dawnom już ciebie nie widział.

Kosziro z trudnością podniósł głowę i rzekł:

— To ty, Szinroku?

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Czyś ciężko raniony?

Żołnierz odwrócił się do swego pana i spostrzegłszy, że ów płacze, zasmucił się również. Wuj rzekł żołnierzowi kilka słów do ucha.

Szinroku kiwnął głową i podszedł do rannego.

— Panie Kosziro, podprowadzę pana.

Wuj rzekł:

— Teraz pójdziesz do mego domu.

Morizao był tak osłabiony, że nie mógł sprzeciwić się temu. Siadł na barki żołnierza i rzekł ze smutkiem:

— Żegnaj wuju!

Wuj kiwnął głową, lecz wróciwszy się do żołnierza, dodał:

— Bądź uważny, Szinroku.

— Dobrze — brzmiała odpowiedź.

Tak rozstali się wuj z bratankiem.

Trupy zabitych żołnierzy leżały na ziemi; głowy wisiały na drzewie. Nad brzegiem szumiała trzcina i z liści jej spadł śnieg. Dwie czaple wzniosły się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Panna Ludwika.

Obrazek

skreślił *k. e.*

Wyszedłszy wieczorem po całodziennej pracy z fabryki, pan Jan Tatara, zamiast, jak zwykle, iść prosto do domu, wstąpił do szynku, w którym robotnicy zostawiali wedle zwyczaju lwią część swojego zarobku. Otworzywszy drzwi, stanął na progu, rozglądał się przez chwilę po ciemnej izbie a potem szybkim krokiem podążył ku stolikowi, przy którym siedział starszy jakiś robotnik, nietylko wiekiem, ale widocznie i stanowiskiem.

— Dobry wieczór — rzekł Tatara, zatrzymawszy się przy stoliku.

— Dobry wieczór — odpowiedział ów starszy i podał rękę młodemu przybyszowi.

— Co pijecie? — zapytał Tatara, usiadłszy na stołku.

— Moją zwyczajną lampkę czerwonego — odrzekł stary. — Ano, nie palę fajki, nie gram w karty, nie chodzę na żadne zabawy, ale bez tej jednej lampki nie potrafiłbym zasnąć.

— Więcej nigdy nie pijecie?

— Nigdy, chyba, że się wydarzy jaka ważna okazya.

— Właśnie teraz będzie taka ważna okazya — szepnął Tatara, a zwróciwszy się do usługującego chłopaka, zawołał — Antek! przynieś butelkę węgierskiego, bryndzy i bułek. A zwijaj mi się!

Antek żywo pobiegł do gospodarza.

— Cóż to za sprawa? -- zapytał stary.

— Opowiem później, tak na sucho nie można — odparł tajemniczo Tatara.

Na chwilę zapanowało milczenie. Stary bębnił palcami po stole, młody rozglądał się niecierpliwie, rychło przyniesie chłopak wino. Obaj ci ludzie byli kolegami zawodowymi, bo obaj pracowali w tej samej fabryce i piastowali godność „werkfirerów“, z tą jedynie różnicą, że młody Tatara po pięciu latach osiągnął to, na co stary Walenty Mucha czekać musiał przez lat dwadzieścia. Robotnicy wielce szanowali pana Muchę i nazywali go „ojcem“, w każdej zaś ważniejszej sprawie zasięgali jego rady.

Chłopak przyniósł wino, bryndzę i bułki, otworzył butelkę, napełnił kieliszki, poczem odstąpił na bok, patrząc z pod oka na biesiadników, szczęśliwych jego zdaniem.

— Zdrowie — odezwał się Tatara, trącając kieliszkiem w kieliszek starego.

— Zdrowie — odpowiedział stary.

Zapanowała chwila milczenia. Powoli i systematycznie jadł i pił stary Mucha, dorywczo i jakby od niechcenia młody Tatara. Nareszcie zniknęły bułki, zniknęła bryndza, ostatnim kęsem wysmarował Mucha talerz na czysto, poczem chłopak sprzątnął niepotrzebną zastawę.

— Zdrowie! — zawołał Tatara, podnosząc wysoko kieliszek.

— Zdrowie — odrzekł Mucha.

Tatara nachylił się ku towarzyszowi, chwycił go za klapę surduta i pociągnął ku sobie.

— Co tu wiele gadać, szkoda miecha — mówił półgłosem — ot, wiecie ojcze, chcę się ożenić.

— Ano, czasby już był — zauważył Mucha — trzydziestka na grzbiecie.

— Dwadzieścia siedm — sprostował Tatara.

— Wystarczy... Trzeba się żenić, żeby dzieci wychować, puścić w świat i jeszcze patrzeć, jakiemi one pójdą drogami.

— Ano, prawda...

— Ale któraż ci to wpadła w oko? — zapytał Mucha.

— Panna Ludwika — odpowiedział Tatara, śledząc, jakie wrażenie uczyni to imię.

Stary kiwał głową.

— No, cóż myślicie? — pytał niespokojnie Tatara.

— Co myślę? — powtórzył stary pytanie. — Widzisz, miałbym ci jedną rzecz do powiedzenia, ale ona, Ludwika, sama ci to powie i tak będzie lepiej, chociaż dla niej z pewnością bardzo ciężko.

— Jaka to rzecz? Gadajcie — nalegał niespokojnie Tatara.

— Ona ci to sama powie — powtórzył poważnie Mucha. — Ja, gdybym jeszcze syna miał na ożenku, tobym mu swatał zaraz pannę Ludwikę.

— Sumiennie?

— A cóż ja heretyk! — oburzył się stary.

— Więc zdrowie! — huknął Tatara.

— Zdrowie — odpowiedział Mucha i tym razem wychylił do dna kieliszek.

Wkrótce zjawiła się druga butelka a chociaż „ojciec“ protestował przeciw takiej rozpuście, młody Tatara przekonał go dowodnie, że to przecież wyjątkowa zupełnie okazya.

II.

W niedzielę po sumie siedziała panna Ludwika w swej skromnej izdebce, na trzeciem piętrze i czytała książkę jakąś, na której znać było ślady licznych i niezbyt troskliwych rąk. Snop jasnych promieni słonecznych padał przez okno i napełniał pokoik wesołem światłem. Schorzałe kwiaty, uwięzione w ciasnych doniczkach glinianych, wyciągały ku słońcu swe nikłe gałązki. Na starej kołdrze, pokrywającej żelazne łóżko, rysował się wyraźniej spłowiały deseń, nowa maszyna do szycia lśniła się połyskiem stali, a pod sufitem chude muchy wielkomiejskie latały zawzięcie pośród głośnego brzęczenia.

Przeczytawszy kilkanaście kartek, panna Ludwika złożyła książkę na stole, dłonie splotła na kolanach i przenosząc spojrzenie z jednego sprzętu na drugi, zaczęła rozmyślać nad ową szarą jednostajnością dni, które się nazywały jej życiem. Czy to z onej zabrudzonej książki jakoweś myśli górne i obrazy ponętne wionęły na nią czarem nieprzepartym, czy może łagodne ciepło słoneczne obudziło w młodem ciele drzemiące tętno życia, dosyć, że z piersi samotnego dziewczęcia wypłynęło niewidzialną falą głębokie westchnienie. Wcale się nie dziwiła, ani oburzała, że pracuje gorzko za lichą zapłatą, czuła jednakże mimowolny żal, że towarzyszki jej, pracujące równie gorzko i płatne równie licho, bawią się przynajmniej w niedzielę tak ochoczo, że potem przez cały tydzień karmią się wrażeniami tego jednego dnia. Tak — ale kto, czy co wzbrania jej podobnej zabawy?... Wszakże dawniej koleżanki nieraz chciały ją zabrać z sobą ona jednakże odmawiała zawsze, nie podając nawet rozsądnego powodu.

— Mruk, arystokratka, odludek — powtarzały płoche czasem, lecz dobre dziewczęta i powoli zapomniały o niej zupełnie.

Ona odludek, arystokratka?... Splecione ręce ścisnęła kurczowo, pochyliła głowę, a z piersi jej uleciało westchnienie, podobne do stłumionego jęku.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi i zanim panna Ludwika zdołała wymówić: proszę, do pokoiku wszedł pan Jan Tatara. Gdyby Herkules wdział na siebie długi surdut angielskiego pastora, wciągnął na olbrzymie dłonie rękawiczki angielskiego dandysa, do jednej ręki wziął cienką laseczkę, do drugiej lśniący kapelusz, wyglądałby zupełnie tak samo, jak pan Tatara, który w dodatku trzymał na jednym palcu zawieszone pudło sporych rozmiarów.

— Dzień dobry — zawołał wesoło, kłaniając się kilkakrotnie.

— Dzień dobry — odpowiedziała Ludwika — proszę siadać.

— Dziękuję ślicznie — odparł Tatara — zaraz usiądę, tylko najpierw sprawić się muszę.

Położył na stole kapelusz i laskę, zdjął z palca pudło, otworzył je ostrożnie, wydobył ze środka bukiet i bombonierkę, puste pudło rzucił niedbale na ziemię, poczem przystąpił do panny Ludwiki.

— Oto cukierki, oto bukiet, niech je pani przyjmie od swego szczerego wielbiciela — wyrecytował jednym tchem wyuczone mozolnie słowa.

Panna Ludwika z niekłamanem zdziwieniem spoglądała na pana Tatarę, który umiał znieść gorąco pieca fabrycznego, a teraz oto już na dobre pocić się zaczynał.

— Kwiaty przyjmuję i dziękuję za nie serdecznie — odpowiedziała wreszcie, odbierając bukiet — swoją drogą powiem panu, że szkoda było pieniędzy i proszę bardzo, ażebyś pan tego na przyszłość nie robił.

— Co mi tam parę reńskich — zauważył Tatara. — A cukierki?

— Nie, nie, dziękuję — zawołała żywo Ludwika, odsuwając od siebie, jakby z odrazą, bombonierkę.

— A to dlaczego? — zapytał Tatara.

— Nie mogę przyjąć, nie mogę — zapewniała z wyrazem prośby.

(Dokończenie nastąpi).

Od Administracyi.

Zwracamy uwagę Szan. P. T. Prenumeratorom, którzy zmieniają adres, że za każdą zmianę adresu należy przesłać administracyi 40 halerzy.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Kto *druga, trzecia* - *czwarta* niższy,
Nic nie wart; mało na niego daj...
Pierwszą zaś znajdziesz wspak w muzyce.
Całość – daleki od nas kraj.

II.

Pierwsza, czwarta, trzecia szukaj
Przy każdej fabryce;
Druga znajdziesz w abecadle,
A także w muzyce.
Całość — wprawdzie słowo włoskie
Lecz tak używane.
Że kto liznął coś z muzyki
To mu będzie znane.

III.

Pierwszą masz w każdym *stanie*, ale nigdy w klasie;
Drugą masz w każdej *porze*, w żadnym jednak czasie;
Trzecia siedzi w *rapirze*, a niema jej w szabli;
Czwartej nie mają czarci – ale mają *djabli;*
Piąta w każdej *potrawie,* nie mają jej wety...
W *całość* można coś schować – noszą ją kobiety.

Łamigłówka.

Ze zgłosek: a, ad, ar, di, gi, ja, mi, mo, mo, na, net, ni, niak, rał, roz, to, top, wit, zie – ułożyć sześć wyrazów, których początkowe litery stanowić będą nazwy dwu ryb rzecznych.

Znaczenie wyrazów: 1) Herb polski. 2) Przetwór chemiczny. 3) Imię słowiańskie. 4) Znajduje się u końca menu. 5) Dygnitarz wojskowy. 6) Następstwo odwilży.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya książkę Stasiaka p. t **„Humoreski“.**

Rozwiązania z Nru 32.

Rebus: Nie wielka to zasługa mieć sławnych antenatów, większa samemu sławy się dobić.

Szarady: I. Ukraina. II. Batory. III. Kukurydza. IV. Karawaniarze.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp.: A. Frickówna Ldziany p. Petranka, ks. A. Majewicz Rzepiennik strzyżewski, J. Malikowa Bolechów, Fr. Piotrowicz Ciężkowice, M. Rożański Gorlice, A Kintzl Świdowa, J. Taborówna Prądnik Czerwony, ks. M. Sztyrak Złoczów, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Peczeniżyn, B. Ramułtowa Jeżów, A. Kotowicz Lwów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Tomaszewski Miechocin ad Tarnobrzeg, Al. Stadnik Grabiny, Wł. Kamiański Sokal, F. Domain Sanok, A. St. Bassara Niwiska, J. Ramoszyńska Borysław. A. Góralski Białobożnica, Chłopicka Zawałów, L. Maruszczak Jezierzany, J. Biegoń Ślemień, H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, R. Prohaska Cerkowna, H. Dydacka Żurawno, L. Fiałkiewiczowie Sądowa Wisznia, L. Rogalski Mikulińce, J. Kwiatkowski Czerniowce, M. Potaczówna Nowy Sącz – Załtbińcze, M. Opolska Czarny Dunajec, Czytelnia Tow. Szkoły Ludowej w Kołaczycach, Al Sołtykowski Tarnopol. Al. Najkowski, K. Traczewski Hinowice, K. Fischer Krosno, Remiszewski Załawie, J. Badura Rożdzień, Fr. Josefert Kraków, Kuszpeciński Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał ks. A. Majewicz w Rzepienniku biskupim poczta Rzepiennik strzyżewski, Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Zwracamy uwagę, że do losowania mają tylko prawo prenumeratorzy „Nowości illustrowanych“. Nie prenumeratorzy więc nie mogą otrzymać nagrody, chociaż dobrze wszystko rozwiążą.

Apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie, ul. Szczepańska 1

-- poleca następujące wyroby własne:

Petrogen „Jahra“ wyśmienity środek do konserwowania włosów, usuwa łupież i swąd z głowy, wzmacnia cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. — **Cena** flakonu koron 2 i 4.

„Jahra“ Kali chloricum pasta do zębów, wybiela zęby, desinfekcyonuje i konserwuje jamę ustną. Tuba 80 hal.

„Jahra“ Antyseptyczna woda do ust, znakomita woda do utrzymania zdrowych zębów i do płukania ust. Flakon koron 1·20.

„Jahra“ Wata Mentoformolowa wyśmienity środek przy katarach nosa. — Pudełko 40 hal.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

Pierwsza Krakowska elektro-mechaniczna

PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI

KRAKÓW

Rynek gł. 44.

Proszę żądać **darmo** i franco mój nowy bogato illustrowany cennik



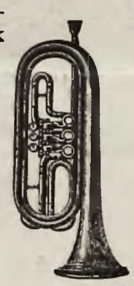
instrumentów muzycznych

wszelkiego rodzaju.

Józef Püchner

fabryka instr. muzycznych

Bielsko, (Śląsk austr.)



Kart widokowych

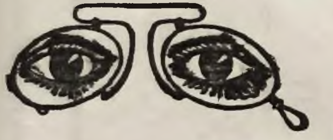
z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech

Henryk Frist, Kraków

właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.

---

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS

optyk i mechanik

Kraków, ul. Grodzka l. 6.

P. P. c. k. Urzędnikom, Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.** 1-?

Wincenty Rucharski

krawiec męski

Kraków Lenartowicza 6.

11 10-30

Nakładem Wydawn. Salonu Malarzy polskich wyszedł

Cykl historycznych obrazów na pocztówkach

Floryana Cynka, prof. Akad. sztuk pięknych w Krakowie.

Cena Kor. 1·—

Za nadesłan. K 1·20 wysyła franko

Henryk Frist, Kraków

Floryańska l. 37.

„ARS“

Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.

Ul. Bracka 5, na parterze.

SALON KOSMETYCZNY PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są z b a d a n e i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

Panowie i Panie

wszystkich stanów,

mogą wszędzie jako dochód uboczny do 300 Kor. miesięcznie zarobić, przez zastępstwa, zajęcie pisarskie, ręczne roboty, wskazywanie adresów i t. p.

Bliższa wiadomość pod M. 14 przez firmę: Karol Wörfel, Nürnberg, Austrasse 76.

Oryginalne

SINGERA

Należy uważać na markę fabryczną

THE SINGER MANF'G CO. TRADE MARK

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Zjednoczone) otrzymały

Oryginalne Singera maszyny do szycia

za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:

Siedm „Grand Prix“

Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi:	Filie na Śląsku austr.:
Tarnów: ul. Wałowa 13.	Bielsko: ul. Kolejowa 2a.
Rzeszów: Trzeciego Maja 5.	Freiwaldau: Rudolfsplatz 170.
Nowy Sącz: ul. Jagiellońska.	Cieszyn: ul. Stefanii 38.
Chrzanów: Mickiewicza.	Opawa: Speergasse 5.

MŁODA WDOWA

z lepszego domu, wykształcona w językach: niemieckim i francuskim, posiadająca znajomość gry na fortepianie jako ukończona uczennica konserwatoryum muzycznego w Krakowie, artystka-malarka, znająca się poza tem na prowadzeniu gospodarstwa domowego, szyciu i haftach — poszukuje jakiegokolwiekbądź zajęcia w zakresie swoich uzdolnień.

Łaskawe zgłoszenia: Administracya „Nowości illustrowanych“ w Krakowie, Zacisze l. 5.

Filia w Krynicy pod białą różą.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie roku 1901.

Peleryny zakopiańskie i tyrolskie od deszczu i zwykłe damskie i męskie po złr. **7 50**. Oraz na składzie wielki wybór **Guniek zakopiańskich** damskich i dziecinnych. **Serdaki** damskie i dziecięce.

Sabałówki, Żuawki, Ułanki, Kryniczanki, Sukmanki kościuszkowskie, Karazye, Czapki i Paski krakowskie i Kapelusze góralskie. – Wszystko wyrobu własnego.

Wojciech Sznajdrowicz, Kraków, Rynek Linia A-B 45

nad Apteką pod „Białym orłem“.

Filia w Krynicy pod białą różą.

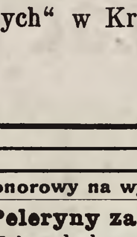
Singera maszyny do szycia

znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach

NIEMETZ I SP.

w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku).

Przyjmuje wszelkie naprawy. Ceny niskie.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych

HANNS KONRAD

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW

w BRÜX Nr. 786 (Czechy).

Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

WĘGIERSKA

RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.

Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych

Haupt A. Rudolf, Budapest

VII. Ovodagasse 22.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14



Spłaty częściowe! dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarzc) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

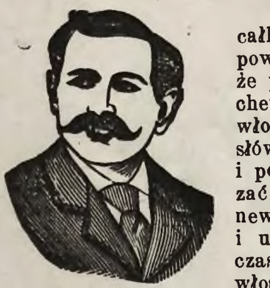
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zwazać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre"
Lwów, Sykstuska 6.

Byłem łysy.

John Craven Burleigh, pewien kupiec londyński pisze: **Jeszcze przed kilku laty była moja czaszka całkiem łysa.** Mój ojciec i dziadek byli łysi. Włosy mojej matki były z przyrody nadzwyczaj cienkie. Już byłem się oswoił z tą myślą, że zostanę łysym, aż dopóki pewnego dnia podczas wycieczki do Szwajcaryi nie poznałem się z pewnym uczonym panem w starszym wieku, który mię w ciągu rozmowy wprost zapytał, czy nie życzyłbym sobie posiadać bujny zarost włosów.



Nadzwyczaj zaciekawiony dałem całkiem naturalnie potwierdzającą odpowiedź. Wtedy opowiedział on mi, że przez całe swe życie zajmował się chemią, a w szczególności chorobami włosów. Dla potwierdzenia swych słów, zanotował on mi pewną formułę i polecił mi najusilniej preparat kazać sporządzić. Przyjechawszy do Genewy nie zaniechałem to wykonać i używałem preparatu przez krótki czas. Po trzech tygodniach poczęły się włosy odnawiać, a po **czterdziestu** dniach była moja czaszka włosami całkiem pokryta. Część pomady dałem dwom przyjaciołom; jedną część pewnej damie, której włosy prawie zupełnie były wypadły. — **Rezultat był w obu wypadkach zdumiewający.** Od tej pory, otrzymawszy wpierw od uczonego, który to odkrycie uczynił, pozwolenie, sprzedaję ten środek kosmetyczny. Jestem w przyjemnem położeniu, setki równych przykładów silnego działania u osób obojga płci dowieść. Nie jest to żaden środek tajemniczy. Gwarantuję, że nie zawiera żadnych składników zdrowiu lub skórze szkodliwych.

Aby się jednak Pan mógł przekonać o prawdziwości tego środka będzie Panu na życzenie wysłaną bezpłatna próbka, Po tem zaś, gdy Pan znajdzie, że pańskie włosy zaczynają rosnąć, może Pan nabyć dalszą ilość za cenę umiarkowaną u pana Wiliama Scotta we Wiedniu, który ma monopol sprzedaży dla Austro-Węgier.

Próbka bezpłatnie. Każdemu czytelnikowi, który mi powołując się na tę gazetę przyszle swój adres na korespondentce wyraźnie napisany, przyszlę próbkę bezwarunkowo bezpłatnie. Należy adresować.

WILLIAM SCOTT
Wiedeń, I./870 Franz Josefs-Kai 19.

INSTALACYE i BLACHARSTWO

wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

Niema więcej cierpień rupturowych

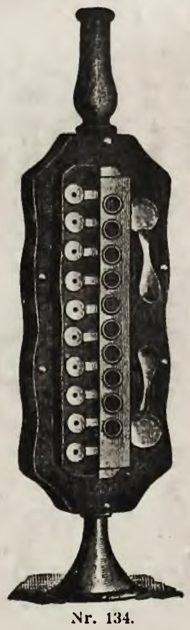
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.



Kolibry . . .	od 1—2 złr.
Papużki małe	od 1·50—3 „
Papużki średnie	od 4·50—7 „
Papugi duże .	od 10—25 „
Papugi duże mówiące	od 28 „
Kanarki herceńskie	od 6 „

Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!



Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiała szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato illustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr.** 4·75. Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKOW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik **Instrumentów muzycznych** oraz różnych **ZABAWEK**



A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Lodownie pokojowe,
Lodownice amerykańskie,
Formy na lody,
Siatki druciane od much,
Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.



Na żądanie wysyłam wielki **CENNIK illustrow. zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator"
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:

Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.

Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.

Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.



URZĄDZAM
Dzwonki elektryczne i telefony
z gwarancyą roczną
po bardzo niskiej cenie
pracownia mechaniczna
Stanisława Leśniakowskiego
ul. Grodzka l. 48, obok kościoła św. Piotra.

Kamienica piątrowa

na Grzegórzkach, z ogrodem, w którym wiele drzew owocowych — do sprzedania z wolnej ręki. — Bliższych wiadomości udzieli właściciel Jan Woźnicka, Grzegórzki 57.

CUKIERINA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grające na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.